Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 12. Września 1880 r. **Tom XI.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 37.

PRENUMERATA we LWOWIE
Roczne 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

Tom II.

(Ciąg dalszy).

XI.

Porwanie na drodze.

Pani Łobodzina jechała w bryce; pan Łoboda jechał na koniu, służąc w ten sposób za rodzaj zbrojnego przykrycia względem żony. Podróż odbywała się powolnie, żyd konie oszczędzał i na ponaglające go do pośpiechu uwagi — odpowiadał niezmiennie: że jedzie tak prędko, jak prędzej nie można. Wywijał nad końmi batogiem, lejcami je targał i wołał przeciągle:

— Wiuu!... het'!... het'!...

Koni atoli wołanie to nie obchodziło wcale. Nie zmieniały truchta, zwanego technicznie »kłusikiem świńskim« i kłusikiem tym unoszona bryka toczyła się traktem, prowadzącym przez Podhajczyki, Złoczów, Zborów, Tarnopol, Zbaraż w dolinę Słuczy, w której Stary Konstantynów leży.

Młoda kobieta, która, wsiadając dopiero do bryki, spojrzała po za siebie i wskutek spojrzenia tego doznała takiego uczucia, jakby wpadała w otwierającą się pod stopami jej ziemię, uspokajała się powoli, oswajała się z położeniem własnem, godziła się wreszcie z losem, mającym dla niej urok otoczony zagadkowością zatrważającą. Trwoga pochodziła głównie od wojewodziny. W towarzystwie pani tej napoiła się przekonaniami, które krok jej potępiały stanowczo. Miała się za zbrodniarkę. Że podobne o samej sobie mniemanie być musi zatrważającem, więc też, w pierwszych zwłaszcza chwilach, czuła się do ziemi niby przybitą, uważając krok swój za dogodzenie sobie; dogodzenie, do tej samej odnoszące się kategorji, co ugryzienie jabłka przez Ewę. Serce jej, zranione mocno, kochało i bolało. Powoli jednak, w miarę jak się bryka coraz to dalej ode Lwowa odtaczała, ból zmniejszał się. Poczęła spoglądać w przyszłość coraz to spokojniej i swobodniej. Na popasach i noclegach Prokop opowiadał o rodzicach swoich, o wiosce zacisznej, o tem zresztą, że on, po otrzymaniu blizn tyle, ile od urodzenia lat liczy, pragnie wypocząć przez lat kilka. Pani Krystyna opowiadanie to wzięła za punkt wychodni rozmyślań nad przyszłością własną i doznawać poczęła ulgi niewysłowionej. Ostatecznie bowiem, cóż się stało? Oto, wyszła za mąż, w brew woli wojewodziny i w brew ojca woli. Był to w oczach jej występek, zapewne. Lecz jakież to występki nie przebaczają się? Czyż Bóg przebłagać się nie da? O tem ostatniem nie wątpiła. Stanowiło to punkt główny, zaznaczający w niej zwrot ku uspokojeniu wewnętrznemu. Pozostawali: wojewodzina i ojciec, wojewodzina za nieprzyjaciół i grzesznikow modląca się i biczująca, ojciec kochający. Przebaczenie przeto uśmiechało się jej w przyszłości, bliższej nieco lub dalszej; w najbliższej przedstawiało się jej życie wspólne z człowiekiem, którego ukochała całą duszy potęgą, któremu ufała nieograniczenie. Miała zaś o nim wyobrażenie tak wysokie, że przebaczenia ze strony Boga i ludzi spodziewała się, jeżeli nie dla siebie, to dla niego.

Uspokajała się więc stopniowo, odzyskiwała nawet humor za sprawą Prokopa, który ją rozweselać i śmieszyć umiał.

Do Tarnopola przyjechali w piątek wieczorem, przed zejściem pierwszej na niebie gwiazdy, to jest, przed szabasem. Wypadało zatrzymać się nazajutrz na dzień cały. Pani Krystyna wyraziła z tego powodu zadowolnienie.

— Podoba ci się w Tarnopolu?... — zapytał Prokop.

— Nie to... — odrzekła. Chcę się jeno pomodlić i wyspowiadać...

— Możemy więc pozostać i przez niedzielę jeszcze...

Młoda kobieta z wdzięcznym w oczach wyrazem popatrzyła na męża.

Pozostali w Tarnopolu przez sobotę i niedzielę. Pani Łobodzina od rana do południa przebywała w kościele na modlitwie ustawicznej a gorącej. Chodziło jej o pogodzenie się z Bogiem. Spowiadać się przyszło jej u staruszka jakiegoś, księdza, który snać wywiązał się z zadania należycie, albowiem odeszła od konfesjonału zadowolniona. Nastąpiła w niej widocznie z sumieniem zgoda, która się w następujących do męża wypowiedzianych wyraziła słowach:

— Odrodziłam się na nowo... Tarnopol pamiętnym mi będzie... Byłam smutna... znalazłam tu pociechę i pokrzepienie...

Słowa te odnosiły się zapewne do nauk, przez staruszka księdza udzielonych.

Prokop odpowiedział:

— W pobraniu się naszem wyraźnym jest palec Opatrzności...

— A tak... zaiste!... — odrzekła młoda kobieta z namysłem.

— Gdybym jak myślał i obmyślał, nie mógłbym zdarzeń tak ułożyć, jak one ułożyły się same...

— Przyszedłeś do ogrodu...

— Przyszedłem... ot tak sobie... przez pamięć na to, żeśmy tam pierwszą mieli schadzkę... Nie spodziewałem się wcale zastać tam ciebie... Gdym zaś zastał, to,

gdyby nie wyrzucenie mnie z pałacu przez marszałka, gdym był raz pierwszy ranny, gdyby nie odesłanie mnie do Bernardynów, nie wiedziałbym co począć... Widzisz więc, jak to wszystko Pan Bóg zrządził...

— Tak, zaprawdę...

Pani Krystyna znajdowała trafnym wywód męża, który taką zakończył sentencją:

— Jak z małej chmurki wielki niekiedy deszcz, tak często z niepozornych przyczyn wielkie powstają rzeczy... Kto wie, do czego jeszcze nasze doprowadzić może małżeństwo!...

— Ach! byle doprowadziło nas do spokojnego, po Bogu życia!... — zawołała.

— Hm?... Po Bogu?... tak... Co się zaś spokoju tyczy, to, kto wie...

— Przecież powiadasz, że w domu pozostaniesz!... — odrzekła protestacji tonem.

— W pierwszych chwilach... tak... Później jednak, jeżeliby zawierucha jaka przyszła, czyżbyś chciała, ażebym za piecem siedział?...

— Może też Bóg miłosierny odwróci zawieruchy od nas?... — westchnęła.

— Daj Boże... W razie takim uprawiać będę zagon ojcowski, ty zaś będziesz siała marchew, pasternak, przesadzała z rozsadnika wysadki, doglądała drobiu... Cóż?... — zapytał, widząc że się żona uśmiechnęła — podoba się to tobie?...

— Podoba się — odrzekła — tylko, jam tego nie robiła, to nie wiem, czy potrafię...

— Matka ci moja pokaże... O! jak ona umie to wszystko... Bylebyś jeno nauczyć się chciała...

— Jakżebym zechcieć nie miała!...

— U nas nie tak, jak u wojewodziny... Zabraknie ci niejednego...

— Ale mi nie zabraknie ciebie... — odparła młoda kobieta z rzewnem w oczy mężowskie spojrzeniem.

Na takich i tym podobnych rozmowach upływał młodemu małżeństwu w Tarnopolu czas, który się przedłużył nadspodzianie. W niedzielę jeszcze popołudniu zasłociło się. Drobny deszczyk padać począł. Niebo zasuły chmury szare i zrobiła się pluchota. W poniedziałek powstawali rano, gotując się do podróży dalszej, lecz żyd furman przyszedł z przedstawienim i prośbą.

— Trzeba się boga nie bać, żeby jechać na czas taki... Na drodze błoto niech Pan Bóg broni...

Murowane szosy nie istniały jeszcze; czarnoziem podolski ma własność rozmakania do głębi i formowania się, jeżeli nie w kwaszę, to w lemieszkę, pochłaniającą koła po osie. Ta zwłaszcza ostatnia straszną jest dla podróżnych. Konie idą niby u pługa i nie zawsze uciągnąć są w stanie. Przedstawienie przeto żyda miało racją za sobą.

— Jeżeli wielmożny pan rozkaże — mówił — to ja zaprzęgam natychmiast... Ale będziemy się wlekli, noga za nogą... A broń Boże Tatarów, to i uciec nie będziemy mogli...

— Co ci się Tatarzy śnią!... — ofuknął Prokop.

— Ny... ja nie wiem... Ludzie gadają, że się za Zbarażem włóczą...

— Jaż przybył ztamtąd... Jak dawno?... dwa tygodnie temu...

— Niech będzie, że ich nie ma... to błoto!... deszcz! kiśnie!... aj waj!... konie zamorzą się i gdzieś na środku drogi ustaną...

— Ha!... — ruszył Prokop ramionami. Cóż ty na to? — zapytał żony.

— Ja?... byle z tobą, mój miły!...

— Zgadzasz się na doczekiwanie się w Tarnopolu pogody?...

— Jeżeli nie można inaczej...

— Ale... — zwrócił do żyda mowę — paś konie dobrze, ażebyś, gdy pogoda nastanie, jechał jak należy...

— Niech się wielmożny pan o jazdę nie turbuje...

Pobyt w Tarnopolu, który się do dni kilku przeciągnął, pobyt w gospodzie żydowskiej nie przykrzył się pani Łobodzinie. Prokop był z nią ustawicznie prawie. Rozpowiadał, jeżeli nie o przygodach własnych, to o przyszłem pożyciu na wsi. Pani Krystyna wynalazła sobie robótkę jakąś, którą wspólnie z Franusią robiła. Nie małą przytem rozrywkę sprawiała jej nowość położenia. Pogodziwszy się z sumieniem, czuła się szczęśliwą i większe jeszcze niebawem przewidywała szczęście. Prokop wtajemniczył ją w stosunki swoje domowe, tak, że pomimo, iż nigdy w życiu ojca jego ni matki nie widziała, znała ich już i kochała. Przeczucie nie nasuwało jej nic złego. Czas upływał szybko.

Aż wypogodziło się nakoniec i żyd sam przypomniał o jechaniu dalszem.

Nie przeczuwała nic złego, mimo to z Tarnopola wyjeżdżać się jej nie chciało. Czuła się tu tak szczęśliwą! Nie było jednak rady.

Ziemia namoczona przez dni kilka nie oschła jeszcze tak, ażeby droga ztwardła. Jechano noga za nogą i zawleczono się na noc nie dalej jak do Zbaraża, kiełbasami sławnego.

W Zbarażu dziwny jakiś, niepojęty opanował ją smutek. Przywiozła go sobie, jak się zdaje, z drogi. Przez dzień cały w bryce siedziała, aż sobie boki poodsiadywała. Lecz nie była to racja dostateczna do wytłumaczenia ucisku jakowegoś, jaki doznawała w duszy. Płakać się jej chciało; wstrzymywała się atoli przez wzgląd na Prokopa, który przeciwnie swobodny był i wesół. Wesołość męża sprawiała jej przykrość niejaką, za którą sama siebie karciła, tłumacząc ją w sposób następujący:

— Dojeżdża do domu... do ojca i matki... nie dziw przeto, że mu to uciechę sprawia...

Usiłowała okazywać się wesołą, co jej przyszło z łatwością, dzięki znużeniu towarzyszy podróży, przeszkadzającemu zwracać na nią uwagę. Prokop i Franusia ledwie się na nogach trzymali. Pani Krystyna znużoną była także, mimo to długo z wieczora zasnąć nie mogła, pod wpływem ucisku onego, o którym wspomnieliśmy wyżej. Zasnęła nad ranem, nie na długo jednak. O dnia świtaniu wstawać musiała.

Podróż dalsza była ciągiem jednym trudów i niewygód, w których rozwijał się w pełni całej geniusz zaradczy Prokopa. Pogoda wprawdzie sprzyjała i droga przysychała, lecz od Zbaraża wjeżdżano w krainę, dziś nie nader hojnie w przytuliska dla podróżnych zaopatrzoną, w czasach zaś owych, z racji zamieszek wewnętrznych, pozbawioną prawie zupełnie karczem i zajazdów. Pozostawało jeszcze drogi dni trzy, drogi złej i ciężkiej. Żyd w dniu pierwszym jechał dobrze, zaciągnął na noc do Bazalii. Pani Krystyna upadała z fatygi i nie wzmocniła sił na noclegu nędznym, jaki tam odbyć musiano w domu, w którym siana nawet na posłanie dostać nie można było, nie mówiąc nic o posiłku jakim takim. Prokop wynalazł i siano i jaja i mleko; okrył żonę na noc burką własną i w ten sposób zabezpieczył ją od wpływu chłodu nocnego, mającego przystęp wolny przez okna bez szyb i bez okiennic.

— Nie długo już... — pocieszał — Dwa dni jeszcze podróży takiej... W Krasiłowie nocleg będzie wygodniejszy; w Starym Konstantynowie jeszcze wygodniejszy... a ze Starego Konstantynowa mil dwie... przyjedziemy do domu na obiad...

I tłumaczył powody ruiny i niedostatku.

— Widzisz... tędy przechodziły burze wielkie... zbaraska i zborowska... Od czasu owego upłynęło lat nie mało; lata te atoli nie upłynęły w spokoju. Dla tego to ludzie nie zabudowują się...

Młoda kobieta zasnęła i snem pokrzepiona, wstała nazajutrz na trudy dalsze, które się zakończyły dnia tego w Krasiłowie. W Krasiłowie, w rzeczy samej nocleg był wygodniejszy, zrywać się rano nie trzeba było. Pozostawało jeno mil trzy do Starego Konstantynowa. Na upartego można było zaciągnąć na miejsce, na wieś rodzicielską; ale w Konstantynowie przenocować wypadało, a to tak dla złej drogi, jako też dla dogodzenia pani Krystynie, która wstęp w progi domowe męża zaznaczyć pragnęła przejściem przez dom boży. Wioska ojca Prokopa należała do parafji starokonstantynowskiej. Chciała się pomodlić i wyspowiadać. Prokop zamierzał zamówić na intencją jej nabożeństwo solenne — troszczył się jeno o to, czy zastanie proboszcza w domu.

Z Krasiłowa da Starego Konstantynowa dwie były do wyboru drogi: jedna na Kuzmin, gdzie przejeżdżać należało groblę na Słuczy, znajdującą się zazwyczaj w stanie opłakanym, druga na Mołczany, prowadząca pod górę i z góry. Żyd furman wybrał tę ostatnią. Pod górę wyjeżdżało się z Mołczan, o milkę od Krasiłowa, następnie zaś jechało się wciąż z góry i z góry do samego Konstantynowa.

Dzień był pogodny, sierpniowy — słońce łagodnym świeciło blaskiem; po polach wałęsały się pajęczyny, crepiając się chwastów i powiewając na takowych na kształt flag na masztach okrętowych; w powietrzu dzwoniły skowronki; na drodze furkały pośmieciuszki. Przejechano przez

las werchniacki, w którym furman zatrzymał się dla wytchnięcia koniom, i jechano już pochyłością staczającą się ku Słuczowi. W dali widać już się dawał Stary Konstantynów. Szkapy żydowskie, czując snać obrok, raźniej pomykały. Prokop z konia co chwila nachylał się ku budzie, sygnalizując żonie raz po raz, to zamek kniaziów Ostrogskich, to wieże kościelne, to inny jakiś wystający budynek i opowiadając losy miasta, zdobywanego, zburzonego, odbudowywanego, gdy naraz od budy odskoczył i spiąwszy konia ostrogami, pogalopował naprzód nieco. Wnet jednak wrócił i na furmana zawołał z akcentem ostrzegającym:

— Poganiaj no!...

Furman raźniej lejcami potargał, batog podniósł i już nim nie wywijał jeno, a smagał kolejno i z przyciskiem dyszlowego i orczykowego. Bryczka potoczyła się szybko. Pani Krystyna głowę z budy wychylając i oglądając się, zapytała oznaczającym zaniepokojenie niejakie głosem:

— Co to?...

— Nic!... bądź spokojna!... Siedź jeno w głębi budy!... — odpowiedział Prokop, powtarzając żydowi poprzednie polecenie: Poganiaj!...

— Aj waj... — odezwał się żyd głosem strwożonym i nakoniec cmokał a cmokał.

Bryka toczyła się szybko. Obok niej czwałowali Prokop i pachołek jego, zdejmując z ramion muszkiety i przygotowując pistolety.

— Na Boga!... — zawołała młoda kobieta. — Co to znaczy?...

Znaczyło to, że na polu z boku pokazała się jeźdźców kupa, w których wprawne Prokopa oko rozpoznało Tatarów.

Jeźdźce zbliżali się ku drodze, zachodząc bryce na przełaj. Znajdowali się w oddaleniu znacznem i posuwali się powoli zrazu, lecz zoczywszy snadź pojazd, spieszyć poczęli, okazując zamiar zabiegnięcia z przodu. Uniknięcie skotkania z nimi polegało na tem, ażeby się im wyprzedzić nie dać. Gdyby ścigali, była nadzieja, że nie dościgną. Dla tego to Prokop nakazywał żydowi pośpiech, dodając zarazem co chwila:

— Uważaj... drogi się trzymaj!... nic się nie bój!...

Pani Krystyna domyślała się, co zaszło. Usunęła się w głąb budy, przycisnęła się do Franusi i odmawiać poczęła w głos: »Kto się w opiekę.«

Z pomiędzy Tatarów, których nie było więcej jak pół setni, wysforowało się kilku na szybszych koniach i pędziło z krzykiem. Prokop z muszkietem w pogotowiu, miał ich na oku. Nagle konia osadził, wziął na cel, strzelił i z najezdców jeden koziołka wywrócił.

— Poganiaj!... — krzyknął na żyda, zarzucając strzelbę na plecy i wydobywając pistolet; — każdemu, co się zbliży, dam odprawę taką... a jeno uważaj i drogi się trzymaj!...

Los jaki jednego z nich spotkał, nie powstrzymał Tatarów. Pędzili, leżąc prawie koniom na szyjach i trzymając spisy naprzód.

— A no!... — Po niejakimś czasie odezwał się Prokop do pachołka. — Pal ty!.. złóż się jeno dobrze...

Pachołek wziął na cel, strzelił i konia trafił.

— Dobrze!.. Muszkiet na plecy zarzuć! pistolety przygotój!...

Niebawem nadeszła potrzeba użycia pistoletów, wystrzały jednak pistoletowe nie tak się okazały skuteczne. Kilku jeźdźców, z boku na polu się trzymających, pędzili z bryką na równi, inni tłumnie dojeżdżali z tyłu.

— Poganiaj!... — od czasu do czasu powtarzał Prokop.

Żydowi nie potrzeba było powtarzać tego. Smagał konie batogiem, jadąc pod eskortą Prokopa i pachołka, którzy nie mając już czasu do nabicia broni palnej, towarzyszyli bryce z dwóch stron z szablami nagiemi w dłoniach

Szansa ratunku pozostawała jeszcze, polegając całkowicie na jeździe szybkiej i równej. Starokonstantynów był niedaleko: — szczęśliwy traf mógł nawet sprowadzić ztamtąd odsiecz dla tej twierdzy ruchomej, w jaką się zamieniła bryka żydowska. I bez odsieczy wszakże zachodziła trudność atakowania jej w pędzie, byle pęd ów w równej zawsze utrzymywanym był mierze. Trudność potęgowała obecność dwóch szabel, gotowych spaść na łeb każdemu, coby się przysunąć ośmielił. Dlatego pędzący z boku Tatarowie trzymali się opodal nieco i tylko zaiskrzonemi oczami spoglądali z podełba na Prokopa i pachołka, potrząsając spisami ku nim.

Wszystko szło dobrze i, rzecz pewna, dobrzeby poszło do końca, gdyby nie przestrach nagły żyda furmana.

Tatar, poprzedzający towarzyszy swoich, spisą, nie wypuszczając takowej z garści, ku żydowi rzucił. Spisa go nie dosięgła i dosięgnąć nie mogła. Żyd jednak zwrócił w tej chwili w lewo, z drogi zjechał, na rów trafił i brykę na miejscu osadził.

— Hultaju!... — wrzasnął Prokop, nad głową żyda szablę podnosząc.

Pojął wnet jednak, że nie było co z furmanem się rozprawiać.

— Przyj do miasta po pomoc!... — na pachołka krzyknął.

Sam zaś zwrócił się ku Tatarom, biorąc na się obronę, niestety! niemożliwą już. Rzucił się w tłum, rąbał, kilku zarąbał; lecz liczbie nie podołał. Z konia zwalony i związany, przypatrywać się musiał rabunkowi bryki i zabieraniu w niewolę dwóch kobiet, z których za jedną oddałby życie z ochotą. I pachołek nie uszedł. Chwilka, na którą zatrzymał się, gdy bryka stanęła, nie dozwoliła mu wymknąć się. Tatarzy z wrzawą ogromną i z szybkością wielką zabierali, co do zabrania było; panią Krystynę, Franusię, Prokopa, pachołka i żyda, powiązanych na konie powsadzali i do takowych ich poprzywiązywali, i rzucając brykę i konie żydowskie, oddalili się w kierunku południowym. Nie omieszkali przytem zabrać trupów swoich, przez młodego szlachcica zabitych.

Zbytecznem byłoby opisywanie stanu duszy, w jaki wypadek ten wtrącił podróżnych naszych, wszystkich razem i każdego z osobna. Stan ten, okropny sam przez się, pogarszał jeszcze sposób, w jaki się Tatarowie z jeńcami obchodzili. Panią Krystynę opuściły siły — nie była w stanie na koniu siedzieć; przewieszono ją więc przez pół i przytroczono powrózkami. Napróżno Prokop na migi prosił, ażeby mu pozwolono podtrzymywać ją. Tatarzy mu kułaki pokazywali.

Pochód odbywał się pospiesznie do południa. O południu zatrzymano się na popas. Dla jeńców nastąpiła ulga. Dano im sucharów i wody. Prokop podupadł na duchu; owładnęła nim rozpacz: z podań wiedział, co znaczy jassyr tatarski; przytem zaś widok żony smutkiem go napawał. Pani Krystyna była blada i znękana; oczy jej świeciły wyrazem chorobliwym; patrzała przed siebie i zdawało się, jakby nie poznawała ani męża, ani Franusi. Gdy które z nich przemawiało do niej, kiwała jeno głową i nie odpowiadała. Cierpiała z powodu sposobu, w jaki wieziona była.

Oddział Tatarów był to jeden z zagonów, oddzielony od siły większej. Dążył do połączenia się z czambułem i plądrował po drodze. Po popasie wykonanym został napad na wioskę jakąś, w której jednak obłów nie był nader świetnym. Uprzedzeni snać mieszkańce mieli czas ukryć się z osobami i z dobytkiem. Nieopodal od wioski owej zatrzymano się na noc. Nazajutrz w ciągu dnia liczbę jeńców powiększyły dwie wieśniaczki z dziećmi; łupów też przybyło nieco. W dniu trzecim coś Tatarów spłoszyło; rozbiegli się po kilkanaście koni w strony rozmaite, uwlekając jeńców z sobą.

Dzień ten był dla młodych państwa Łobodów najfatalniejszym: Prokopa uwlekła kupa jedna, Franusię druga, panią Krystynę trzecia. Wypadek ten przywrócił jej przytomność umysłu, która, zdawało się, opuściła ją była. Obudziło się w niej pragnienie połączenia się ze swoimi. Pragnieniu temu los uczynił zadość: jednakże, niestety! w części tylko. Oddział, który ją uprowadzał, dotarł nazajutrz wieczorem do obozu dużego, przy którym znajdowała się jeńców liczba wielka. Sród tych odnalazła się Franusia.

Pani Krystyna pogarnęła się do niej z okrzykiem uradowania i:

— On?... — zapytała natychmiast.

— Wielmożny pan?... — była Franusi odpowiedź.

— On? Prokop mój?...

— Nie wiem... Nie widziałam pana... Czy tu go gdzie nie ma?...

Daremnemi jednak były poszukiwania i dopytywania się. Dowiedziała się tylko, że czambułów jest kilka w tych stronach, że ciągną drogami różnemi i że zagony, gdy są spłoszone, rozbiegając się w kierunkach rozmaitych, nie wszystkie następnie do jednego i tegoż samego ściągają się punktu.

Czambuł stał na miejscu przez dni parę — sprowadzano jeńców, spędzano trzody, zwożono łupy — ruszył nakoniec. Przez cały ten czas pani Krystyna nadzieją jeszcze żyła; w chwili wymarszu postra-

dała ją. Posuwała się machinalnie w tłumie jeńców taborem otoczonych. Czambuł, obciążony zdobyczą, krótkie robił marsze, po mil dwie, najwięcej trzy dziennie, i zatrzymywał się często. Liczba obrońców onego, nieznaczna z początku, wzrastała stopniowo. Jeńcom rozdawano mąkę, zboże w ziarnie i mięso baranie; na noclegach wyprowadzano pod silną wartą mężczyzn po drzewo i kobiety po wodę — gotowali sobie jadło sami i noce spędzali przy ogniskach pod niebem otwartem.

Łatwo wyobrazić sobie, jaki to wpływ pochód taki wywierał na zdrowie do wygód życia przywykłej i delikatnie wychowanej starościanki. Szła — ledwie nogami plątała, podtrzymywana jeno przez Franusię, która jej nie odstępowała. W ciele czuła naprzemian upał i mróz. Zdawało się, że straciła uczucie i poznanie. Istota jakaś litościwa włożyła jej na głowę płótna zgrzebnego kawał i ona, w jedwabnej sukni, w poszarpanych pończochach, bez trzewików, w płótnie na głowie, machinalnie odbywała pochód, to podtrzymywana przez Franusię, to idąc o sile własnej, to trzymając się ręką jednego z wozów.

W miejscu pewnem zdarzyło się tak, że wozy z powodu trudności drogi rozerwały się i ten, którego się ona trzymała, szarpnięty nagle przez konie, potoczył się szybko. Młoda kobieta zatoczyła się, gruntu jej pod nogami zabrakło — spadła w jakąś głąb. Przytomność ją opuściła, kiedy zaś powróciła, ujrzała się samą na dnie rozdołu zarosłego osoką. Zebrawszy siły wszystkie, wydobyła się ztamtąd, obejrzała się — słońce zachodziło. Otaczały ją pola puste. Zaczęła biedz przed siebie w tym kierunku, w jakim stała. Szła przez noc całą, przysiadając kiedy niekiedy dla odpoczynków krótkich; szła następnie przez dzień, ukrywając się w chwastach; noc drugą przespała na gołej ziemi; zerwała się i szła dalej, szła ustawicznie, usiłowała biedz, lecz zaledwie wlec się mogła; w głowie się jej kręciło; w uszach szumiało; szła póty, póki nogi posłuszeństwa jej nie odmówiły. Wówczas padła śród burzanów i zapragnęła oglądać bodaj oblicze ludzkiej istoty. Wydało się jej, że przyszła już na nią chwila ostatnia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA NAUKOWA.

Treść: Próby przenoszenia obrazów za pomocą elektryczności. — Poszukiwania Bella. — Telektroskop i pierwsze próby z tym przyrządem. — Zjawiska fosforescencji. — Zegary świecące. — Obicia fosforyczne. — Latarki. — Badania prof. Radziszewskiego. — Nowa wyprawa Stanleya. — Jej przeznaczenie.

Oswoiliśmy się już z zadziwiającemi wynalazkami kilku lat ostatnich. Dziś już publiczność stała się nawet tak łatwowierną, że najzabawniejsze humbugi amerykańskie przyjmuje do wiadomości bez wzruszenia ramionami. Kto wie? a może to i prawda? myślą czytelnicy gazet, dowiadując się niestworzonych rzeczy, wierutnych bajek o tem np. co Edison wynajduje w Menlo Park, gdzie ma pracownię. Przed kilku laty, gdy przyszła do Europy wiadomość o tem, iż Bell wynalazł przyrząd za pomocą którego słyszeć można głos ludzki z odległości mil kilkudziesięciu, uważano to za jeden z najśmieszniejszych humbugów, a w parę lat potem, gdy pewien ogłosił w „Timesie" londyńskim, iż Edison rozwiązał kwestję oświetlenia elektrycznego, zrobiło to tak wielkie wrażenie na giełdach, że akcje towarzystw gazowych spadły kolosalnie w dniu jednym. Uwierzono wiadomości, chociaż z opisu ogłoszonego, każdy specjalista mógł się od razu przekonać, że Edison nie zrobił w tej mierze nic nadzwyczajnego. Wiadomości o nowych wynalazkach dochodziły potem do nas w tak szybkiem tempie, że już się zaczęło na nie mało zwracać uwagi. I tak n. p. ogłoszona i rozniesiona po świecie wieść, iż znaleziono teraz sposób widzenia z odległości za pomocą drutów, nie odbiła się silniejszem echem. A jednak rzecz to niezwykle ciekawa i te pierwsze próby autentyczne dowodzą, że z czasem i to zadanie zostanie rozwiązanem.

Słynny wynalazca telefonu, Bell, od lat kilku pracuje nad zbudowaniem przyrządu, któryby umożebniał przesyłanie po drucie, za pomocą elektryczności, obrazów tych przedmiotów które się znajdują w pobliżu aparatu nazwanego przezeń *telektroskopem*. Bell wziął już kilka patentów na ten wynalazek, lecz dotąd jest on jeszcze w stanie tak pierwotnym, że o dokładnem widzeniu mowy być nie może. Szczegóły przyrządu nie są dotychczas ogłoszone, i wiemy tylko o ogólnej zasadzie, na której się opiera.

Wyobraźmy sobie dwie stacje, mające być z sobą w ten sposób złączone, że co się dzieje na jednej, w pobliżu aparatu, ma być jednocześnie widziane na drugiej. Zajmijmy się najprzód przyrządem, który obraz wysyła zbierając promienie światła odbite od otaczających przedmiotów.

Przedewszystkiem, od przodu aparatu znajduje się tak zwana ciemnia optyczna (camer obscura), taka, jak ta której fotografowie używają Za pomocą tej ciemni, otrzymuje się zmniejszony i przewrócony obraz wszystkich rzeczy znajdujących się w polu widzenia. Światła, cienie, barwy, wszystko to odbija się za soczewką z wiernością zupełną.

Zadaniem telektroskopu jest, przenieść elektrycznie taki zmniejszony obrazek na inną stację.

W tym celu, obraz przedmiotów w kamerze, pada nie jak u fotografów na szkło matowe, a potem na płytkę szklanną, pokrytą czułą na światło warstewką, lecz na tabliczkę, złożoną przeważnie z pierwiastku *selenem* zwanego, — tabliczkę odgrywającą główną rolę w całym aparacie.

Selen ów jest ciałem posiadającem bardzo dziwne własności i, właśnie ze względu na to, często używanem w ostatnich czasach. Zauważano bowiem, że selen jest bardzo czuły na wpływ światła i że zależnie od siły promieni świetlnych padających na jego powierzchnię, zmienia zdolność przepuszczania przez swą masę prądu elektrycznego. W ciemności jest stosunkowo dość złym przewodnikiem, a im jaśniej jest oświetlonym, tem staje się lepszym.

Otóż korzystając z tej własności, Bell używa go do swego telektroskopu. Tabliczka, na którą pada obraz z ciemni optycznej ułożoną jest, jakby miniaturowa szachownica, z małych sześcianów selenu, izolowanych jeden od drugiego. Tabliczka taka wygląda jak jednobarwna mozajka. Każdy drobny kawałek selenu połączony jest od tylnej strony z drutem, który bieży aż do następnej stacji, tak, że od tylnej strony tabliczki, wychodzi tyle drutów ile jest osobnych kawałków w selenowej mozajce. Wszystkie te druty w jednym pęku złączone, przeprowadzone są do aparatu odbierającego.

Żeby sobie uprzytomnić działanie przyrządu, weźmy pod uwagę tylko jeden kwadracik z tabliczki selenowej i jeden drut z nim złączony. Do całej tabliczki, a więc i do każdego kwadracika wchodzi bez przerwy prąd elektryczny o jednostajnej sile... Jeżeli jednak nasz kwadracik znajduje się w jaśniejszem miejscu obrazu, — wtedy do drutu przechodzi prąd silniejszy, jeśli zaś leży w cieniu, to słabszy. Mamy więc w każdej chwili, w naszym drucie prąd elektryczny, proporcjonalny co do swej siły, do oświetlenia. Jeżeli więc na stacji *odbierającej* zbierać będziemy prąd elektryczny i zdołamy napowrót wywołać światła i cienie proporcjonalne do siły prądu przebiegającego po drucie — zadanie będzie rozwiązanem. W tem mieści się najtrudniejsza i najciemniejsza część zadadania. Nietylko Bell lecz i inni w tym kierunku zdążający wynalazcy próbowali rozmaitych połączeń chemicznych zmieniających pod wpływem elektryczności barwę, lecz zwykle niewyraźne otrzymywano rezultaty.

Wróćmy teraz do całości aparatu. Każdy kwadracik wysyła prąd proporcjonalny do siły światła, w którem się znajduje. Końce wszystkich drutów na stacji odbierającej, ułożone są w takim samym porządku, jak odpowiednie kawałki selenu na stacji wysyłającej. I w ten sposób rysunek przedmiotu przenosi się w ogólnych zarysach z jednego miejsca na drugie.

Naturalnie, że tą drogą przenoszą się tylko światła i cienie. O barwach nie może być mowy. W dodatku rysunek musi być koniecznie niewyraźnym, bo składać się musi, jak mozajka z pojedyńczych kawałków, gdyż z takich kawałków złożoną jest tabliczka selenowa odbierająca obrazy. To co zobaczyć można, jest podobnem do niezgrabnej roboty włóczkowej na kanwie. To też gdy przed kilku miesiącami odbyły się pierwsze wiarogodne próby, niezbyt świetne otrzymano rezulaty. Można było widzieć, jak donoszą czasopisma naukowe, figury większe, jak jasne kwadraty, trójkaty, ale o przenoszeniu bardziej skomplikowanych obrazów, ani mowy być nie mogło.

W każdym razie jest to już ważny krok naprzód, dozwalający mieć nadzieję, że do licznych cudów naszego wieku przybędzie jeszcze jeden, zajmujący jedno z miejsc najwybitniejszych.

* * *

Fosforescencja, którąby można było nazwać świeceniem ciał na zimno, jest zjawiskiem bardzo powszedniem, a jednak dotąd jeszcze niedokładnie zbadanem. Fosforycznem światłem świeci w ciemności próchno, robaczek Świętojański, fosfor; na wielką skalę zjawisko to widzieć można na morzach, gdzie nieraz cała powierzchnia, jak okiem zajrzeć wydaje z siebie łagodne światło. Jak wszystkim wiadomo, w tym ostatnim wypadku pochodzi to od niezliczonych

mirjad drobnych istotek organicznych fosforyzujących w ciemności. W ogóle fosforescencja najczęściej się objawia przy rozkładzie ciał organicznych.

Pomiędzy nieorganicznemi ciałami znajdujemy takie, które wystawione na światło słoneczne, a potem wniesione do ciemnego pokoju wydają jeszcze z siebie przez długi czas, blade fosforyczne promienie. Do nich należą rozmaite siarczki, jak wapniowy, barowy i t. p. Jest to tak zwana fosforescencja przez insolację, czyli przez wystawienie na słońce. Becquerel dowiódł, że wszystkie prawie ciała na ziemi mają tę własność, że jednak czas świecenia u większej części jest bardzo krótkim tak, że bez osobnego przyrządu, nie możemy nawet tego świecenia spostrzedz. Niektóre jednak, jak siarczek wapniowy, świecą, raz wystawione na działanie promieni słonecznych, przez kilka godzin czasu.

Korzystając z tej własności, puszczono w handel t. z. zegary świecące, które cyferblat mają pokryty masą fosforyzującą. Przez kilka godzin nocnych, tarcza zegarowa wydaje tak silne światło, że dokładnie ciemne godziny i położenie wskazówek widzieć można.

Ciała fosforyzujące przez wystawienie na słońce robią to wrażenie, jakby pochłaniały jasność słoneczną i potem, zebrawszy spory zapas, napowrót je w ciemności z siebie wydzielały.

Niejednokrotnie już podawane były różne propozycje zastosowania takiej własności pochłaniania światła i następnego wydzielania, do celów praktycznej natury. I tak np. radzono pokrywać fosforyzującemi ciałami ściany domów, obicia w pokojach, żeby potem w nocy światła nie potrzebować. Propozycje te rozbijały się z początku o trudność przeprowadzenia praktycznego na większą skalę. Dziś już zrobiono ważny krok naprzód, i w Anglji, ostatniemi czasy, bardzo popularnemi stały się obicia fosforyzujące, tak zwane: *light stores,* fabrykowane według patentu niejakiego pana Thlee. Zwykłe obicia papierowe pokryte są na zewnątrz masą fosforyzującego ciała, które dla ochrony od wpływów zewnętrznych, znajduje się pod cienką a przezroczystą warstewką pokostu. Obicia takie we dnie niczem się nie różnią od innych, w nocy zaś świecą przez 4 do 5 godzin różnobarwnem światłem. Występuje wtedy na jaw wzorzyście ułożony rysunek, o tęczowych kolorach harmonijnie ułożonych. Ma to robić bardzo przyjemne wrażenie. Siła światła fosforycznego jest nawet dosyć znaczną, tak, że przy ścianie takiej, w odległości stóp kilku można odróżniać litery.

Na tej samej zasadzie fabrykują obecnie afisze, nalepiane w Londynie po rogach ulic w ciemniejszych zakątkach pod gzymsami, gdzie światło latarni nie dochodzi. Jasne litery na ciemnem tle, lub odwrotnie, wyraźnie odbijają i zwracają swą oryginalnością uwagę przechodniów.

Admiralicja angielska zajmuje się obecnie próbami zastosowania takich świecących obić, do oświetlania prochowni i składów nabojów dynamitowych do torped. Wchodzenie z ogniem do takich miejsc jest oczywiście niebezpiecznem i gdyby fosforyczne światło latarni wystarczało, byłoby — najodpowiedniejszem. Czyniono więc próby z latarkami fosforycznemi, zrobionemi w postaci dużej latarni, świecącej nie od wewnątrz, od zapalonej lampy, lecz posiadającej natomiast szyby światło wydające.

Zbadaniem zjawisk fosforesencyjnych najwięcej się zajmował w ostatnich czasach prof. lwowskiego uniwersytetu Bronisław Radziszewski, który w ostatnich paru latach bardzo wiele w tej dziedzinie nowych odkryć porobił i przyczynił się znacznie do wyjaśnienia tego dotychczas jeszcze niedokładnie wytłumaczonego zjawiska. Prace prof. Radziszewskiego są zbyt specjalnej natury, żebyśmy się mogli nad niemi dłużej tutaj rozwodzić. Dla studjujących jednak fizykę i chemię są one tak doniosłe, że polecamy bliższe z niemi zaznajomienie się. Na tem polu dużo jeszcze jest do zrobienia i odkrycia nowe nie ze zbyt wielkim trudem byłyby do urzeczywistnienia.

B. Abakanowicz.

PAMIĘTNIKI POWSTAŃCA

z 1863 i 1864 r.

Przejrzał i przypisami uzupełnił

ZYGMUNT LUCJAN SULIMA.

KSIĘGA TRZECIA.

BOSAK I KRZYWDA.

(Dokończenie.)

III.

*Treść: Utarczka pod Oksą — Krzywda jedzie do Krakowa — Anderlini — dalsza moja Odysseja — spotkanie z Karolem R*** — wypadek z jeleniem — nasze zamiary — mój pobyt w Przyłęku — Bogusz — Markowski i jego śmierć — moje ukrywanie się — wypadek w Łachowie i Kurzelowie — koniec mej karjery wojennej — powstanie w innych częściach kraju — zakończenie.*

Skoro przekonano się, że to Krzywda nadjeżdża, zrobił się ruch na dworze dla przyjęcia gości; a ja na wpół ubrany oczekuję na konia, gdy naraz widzimy na drodze od Węgleszyna drugi oddział kawalerji, wjeżdżający już do wsi; wkrótce przekonaliśmy się, że to dragony.

Krzywda będący za górką nie widział ich, jak również i oni jego, dopiero zbliżywszy się do siebie na jakie sto kroków wzajemnie się spostrzegli; padły strzały i zaczęła się pogoń. Część dragonów puściła się prosto, a reszta chcąc przeciąć drogę do lasu, wpadła na podwórze dworskie, a ztąd łączką na przełaj ku lasowi. Byłoby im się udało, gdyby nie to, że łączka była bagnista i konie poczęły zapadać się po brzuchy.

Tymczasem ja, zrzuciwszy buty z ostrogami, w pantoflach, mając na sobie chłopską sukmanę, puściłem się z dworu na folwark. Nadjeżdżający dragon wstrzymuje mię i pyta:

— Ej, mużyk, zdieś przejedzie?

— Przejedzie! — odpowiedziałem.

Ruszył z kopyta i wnet zapadł się z koniem po brzuch — wrócił się napowrót wraz z kilkoma innymi i pognał drogą za resztą oddziału.

Krzywda wygnany na czyste pole, mając konie zmęczone, został doścignięty i rozbity ostatecznie — kilku dostało się do niewoli, kilkunastu raniono. Z 50 ludzi zaledwie dwudziestu ocalało. Krzywda tego samego dnia, nie czekając już decyzji Bosaka, po którą pojechałem, oświadczył, że rozpuszcza oddział, że niech każden myśli o sobie; sam zaś będzie chciał dostać się za granicę. Tak też zrobił i rzeczywiście udało mu się ppzebranemu dostać do Krakowa, gdzie już był bezpieczny. Resztki nie widziały literalnie co z sobą począć — włóczyć się dalej to pochwycą — siedzieć gdzie po domach, ten sam los spotka. Postanowili więc trzymać się do ostatniego i przedostać się bądź co bądź do granicy austrjackiej. Komendę nad resztką, objął sławny awanturnik, eks-żołnierz z francuskiej legji zagranicznej, niejaki Anderlini, który od początku powstania tłukł się po całem królestwie, służąc z początku powstania w piechocie, a jak tej nie stało, w kawalerji— i on głównie wpłynął na ostatnie postanowienie trzymania się nadal zbrojnie.

Po całej tej katastrofie, to jest po odjeździe dragonów z Oksy, nic mi nie pozostawało, jak najspieszniej uciekać, ale gdzie i jak? konno, oddział prawdopodobnie rozbity lub zagnał się Bóg wie gdzie — piechotą daleko nie zajdę, a okolica cała napełniona patrolami. W każdym razie w Oksie pozostać nie mogłem, gdyż dragoni na pewno wrócą, dla zabrania zapasów przygotowanych dla powstańców, i zrobienia rewizji, jak to mieli we zwyczaju. Ubrałem się przeto w jakieś palto gospodarza, wziąłem ze sobą rewolwer i przez łączkę puściłem się do lasu. Ledwiem dopadł takowego, gdy spostrzegłem, że przypuszczenia moje sprawdziły się. Dragoni otoczyli dwór w Oksy. Puściłem się ku Krzepinowi. Wychodząc z lasu, spostrzegam Krzepin ale i kozacką pikietę stojącą na drodze do lasu. Cofam się napowrót. Zaczęło się ściemniać; nie było innej rady, jak wyszukać sobie odpowiednie miejsce i przenocować. Idąc tak zamyślony, usłyszałem w gęstwinie jakiś szelest, wyjąłem rewolwer— i rozpatrzywszy się bliżej spostrzegłem osiodłanego konia przy drzewie a na ziemi człowieka. Podchodzę i widzę jednego z najlepszych mych kolegów Karola R*** Spał sobie jak najspokojniej. Obudziłem go i spytałem jakim cudem tu się dostał i co myśli robić dalej.

— A cóż, jechaliśmy do Dybia, i po drodze wpadliśmy prawie na nos dragonom, którzy się puścili za nami jak szatany. Gnali nas tak z milę drogi, a w ucieczce każden wybierał drogę, jaka mu się wydawała dogodniejszą. Zaraz z początku skręciłem w bok — nie spostrzegli mnie i tu przycupnąłem — a co dalej mam czynić, co prawda, nie miałem czasu się nad tem zastanowić. Zmęczony, głodny jak pies, zasnąłem i tak mnie zastałeś — obecnie myślę tylko jakby można co zjeść, od wczorajszego wieczora nic w ustach nie miałem.

Opowiedziałem mu również moje przygody i w konkluzji uradziliśmy, że z lasu obecnie wyjść niepodobna, jeżeli miłe nam życie i swododa. Moskale naokoło czychają na rozbitków. Położyliśmy się spać — deszcz padał od dwóch godzin, tak, że wkrótce leżeliśmy w kałuży, lecz tak byliśmy zmęczeni i ubezwładnieni, że nam sił nie stawało podnieść się. Leżąc tak w półśnie naraz spostrzegam nad sobą dwoje świecących oczów — zdawało mi się że marzę — poruszyłem nogą i naraz usłyszałem przeraźliwy krzyk i widmo zniknęło. Towarzysz mój sądząc, że to

nieprzyjaciel, zerwał się na równe nogi. Był to jeleń, który żerując sobie swobodnie po lesie, wszedł na nas — z początku obserwował, a w końcu przestraszony mojem poruszeniem, uciekł z wielkim krzykiem. Był to zresztą bardzo naturalny wypadek i nie było się czem przestraszać — cóż powiecie na to, na ten bek jego rozlegający się przeraźliwie po lesie, taki nas paniczny i zabobonny strach opanował, że dostaliśmy literalnie febry, kłapiąc zębami jak zgłodniałe wilki. Oczywiście, że osłabienie fizyczne i nastrój moralny wpłynął tak niefortunnie na nasze nerwy. Deszcz lał ciągle. Nad ranem byliśmy tak przygnębieni, wystraszeni, zziębnięci do szpiku, że gdybyśmy zobaczyli nad sobą bagnet nieprzyjacielski, nie wiem czy zdołalibyśmy się poruszyć — gotowi byliśmy przyjąć każdy los jednakowo.

Około godziny 8. rano, usłyszeliśmy czyjeś kroki, a nie długo stanął przed nami człowiek, w którym poznaliśmy miejscowego gajowego. Ten nas objaśnił, że Moskale odciągnęli do Włoszczy i radził nam udać się do jego chałupy, dla ogrzania i wypoczynku. Podniósł nas z ziemi i doprowadził do mieszkania o parę wiorst oddalonego. Tutaj przebyliśmy półtorej doby, wysuszeni i odkarmieni. Towarzysz mój miał zamiar przedostać się do Oksy, i oczekiwać przyszłości — ja zaś udałem się do Krzepina a ztąd do Przyłęka.

Poczciwy szlachcic, nie bacząc na rozporządzenia moskiewskie, które nakazywały dom, gdzie złapany będzie powstaniec, okładać kontrybucjami a samego właściciela aresztować, przyjął mnie jak najserdeczniej. Na nocleg wyprawiono mnie do owczarni, pomiędzy sterty słomy, gdzie spałem jak na najpyszniejszem łóżku. W Przyłęku przebyłem kilka dni — jednej nocy słyszę głos mego gospodarza, że przyjechali po mnie z oddziału Bogusza, który się jeszcze trzymał i obecnie stojąc w Węgleszynie, przysłał po mnie nieśmiertelnego Lotkina, który się znajdował w jego oddziale, z rozkazem stawienia się zbrojno do oddziału. Myślałem że żartują, ale poseł oświadczył mi że nie, że mię siłą zmusi do tego. Pojechałem więc, ale bez broni. W Węgleszynie zastałem na podwórzu ze 40 koni — a pan Bogusz oświadczył mi, że są u niego wakujące miejsca i ma nadzieję, że wstąpię do jego oddziału. Na to odrzekłem mu, że przeciwnie się rzeczy mają, że ani myślę występować zbrojno, z tej uwagi, że dalsze włóczenie się, oprócz ostatecznego zniszczenia mieszkańców, do żadnego rezultatu nie doprowadzi, w końcu zakomunikowałem mu rozkaz Bosaka, który ciągle nosiłem przy sobie, upoważniający nas do rozejścia się. Po przeczytaniu takowego, Bogusz zamyślił się i rzekł:

— Tak, łatwo to powiedzieć, rozejdźcie się, ale gdzie? — ano to już niech każdy myśli o sobie, jak mu spryt i rozum dyktuje.

Pożegnaliśmy się i zaraz pojechałem z powrotem do Przyłęka. W kilka dni potem Bogusz został napadnięty koło Jędrzejowa czy Kielc i rozproszony ze szczętem; część zabito, część dostała się do niewoli, kilku tylko wraz z dowódzcą ocalało. Jaki zaś był ich los — nie wiem. Prawdopodobnie zdołali ujść za granicę.

Na drugi dzień po południu, tylko cośmy wstali od obiadu, służąca zawiadomiła nas, że przyszedł jakiś owczarz starający się o służbę. Wprowadzono go, w owczarzu poznałem Markowskiego, Naczelnika sił zbrojnych Województwa Krakowskiego i Sandomierskiego. Gospodarz, pan M***, nie poznał go. Po wyjściu służącej przystąpiłem powitać go. W chłopskiej sukmanie, w prostych butach, szedł piechotą z pod Sandomierza i tylko temu kostjumowi zawdzięczał, że dotąd nie został przytrzymany. Błąkał się biedak bez celu, bez wyraźnego i określonego zadania, obarczony plikami poleceń i instrukcji Rządu Narodowego. Między innemi, kazano mu na gwałt z wiosną formować oddziały zbrojne, sztyftować pułki, napadać na Moskali w ich stanowiskach, słowem dawano rozkazy, jedne od drugich bezsensowniejsze (?) i niepodobne do wykonania nawet dla szalonych dzieciaków. O ile zaś poznałem Markowskiego, mógł to być dobry żołnierz, ale nie organizator w okolicznościach tak trudnych, jak ostatnie powstanie w Polsce. Dowiedział się od nas, że ostatni prawie oddział zbrojny Krzywdy został przed kilku dniami rozproszonym. Zdawało się, że przewidywał to, gdyż nie okazał najmniejszego zdziwienia ani smutku. Przenocował w Przyłęku i na drugi dzień rano, nie zwierzając się ze swoich projektów nikomu, puścił się w dalszą podróż. Domyślałem się tylko, że dążył ku granicy. W kilka dni dowiedzieliśmy się że zatrzymany został przez chłopów w pewnej karczmie pod Opatowem a zdradził się tem, że miał skarpetki na nogach. Odstawiono go zaraz do najbliższej komendy wojskowej — tutaj po dokonanej rewizji, znaleziono przy nim zaszyte w ubraniu polecenia Rządu Narodowego, które go jasno potępiały i przedstawiały jako naczelnika sił zbrojnych. Tak ważnego przestępcę, polecono odprowadzić do głównego naczelnika wojennego w Radomiu, jenerała Bellegarda. W drodze Markowski przewidując, że badania jakie przedsięwezmą Moskale, mogą skompromitować dużo osób, a nie dowierzając swojej wytrwałości i odwadze, oraz znając okrucieństwo moskiewskie i chytrość ich w podobnych razach, postanowił odebrać sobie życie. Za całą broń miał przy sobie dużą chłopską igłę, którą wpakowawszy sobie całą w piersi, zadrasnął nią serce; w parę godzin już nie żył. Nieszczęśliwemu temu dowódzcy, nie już jako męczennikowi sprawy narodowej, ale jako człowiekowi silnej woli i szczytnego charakteru, należy się cześć i zaszczytne wspomnienie u rodaków.

W Przyłęku, Oksie, Dąbiu i innych wioskach ukrywałem się do pierwszych dni maja. W ciągu tego czasu dnia prawie nie było, żeby jakiś patrol nie zajrzał i nie zrobił rewizji. Na wieść przeto, że Moskwa jedzie, kryłem się po owczarniach stodołach, a czasem, w razie większego niebezpieczeństwa, urządzałem drapaka do pobliskiego lasu — i niejedną noc spędziłem tam w niecierpliwem oczekiwaniu, aż mnie ktoś powiadomi o bezpieczeństwie i możebności powrotu. Stan ten i smutna w perspektywie przyszłość, wprawiały mnie w prawdziwą rozpacz; czułem przytem, chociaż mi tego nie okazywano, że gospodarz byłby niewymownie rad, gdybym go uwolnił od mojej osoby, a zarazem od ciągłego strachu.

Nareszcie jednego dnia otrzymałem wiadomość, że wyszedł ukaz carski, ogłaszający przebaczenie win wszystkim powstańcom, którzy zameldują się dobrowolnie i wykonają przysięgę, że będą nadal wiernymi poddanymi. Na razie zdawało mi się to niepodobnem, straszną podłością, oddać się dobrowolnie, prosić przebaczenia i lizać stopy tych, których z przyjemnością by się szarpało. Postanowiłem więc ukrywać się dalej i czekać, co mi los zgotuje, a nie chcąc być ciężarem i wiecznym niepokojem dla biednej szlachty, umyśliłem bądź co bądź przedostać się do Warszawy, rachując na to, że tam, w takim chaosie i natłoku ludzi, jak nie spostrzegli żem wyszedł, tak nie zauważą i przyjścia mojego — przycichnę gdzie u znajomych i może się uda wyjść cało.

Pożegnawszy się z gospodarstwem i podziękowawszy im za ich gościnność i serdeczne współczucie, puściłem się w drogę. Odesłano mnie do Łachowa; tutaj ledwie że przywitałem się ze szlachcicem i zacząłem się mu zwierzać z moich zamiarów, gdy nagle spostrzegliśmy, że cały dom otoczony zotał przez dragonów. No, pomyślałem sobie, przyszła kreska na Matyska — cofnąłem się do drugiego pokoju. Za chwilę usłyszałem brzęk ostróg i szabli i oświadczenie oficera dowodzącego, że przyjechał dokonać rewizji. Rozkład dworu w Łachowie był tego rodzaju, że z pokoju do pokoju przechodząc, można było cały dom obejść wewnątrz do koła. Weszli z pierwszego pokoju do drugiego, ja cofnąłem się do trzeciego; oni do trzeciego, ja do czwartego i w końcu znaleźli się w pierwszym, a ja w drugim. Gdyby jednemu z nich przyszła myśl pozostać lub pójść w przeciwną stronę, byłby się ze mną zeszedł i konkluzja do przewidzenia. Bawili z godzinę; oficerowie zjedli śniadanie i wyjechali, nie znalazłszy ani jednego powstańca. Szlachcic z początku myślał, żem się jakim cudem ulotnił; na mój widok osłupiał, ale kontent, że tak szczęśliwie się powiodło, zaraz przyszedł do siebie, uściskał mnie, ale swoją drogą kazał założyć jak najprędzej do bryczki i wywieźć ten arcyniebezpieczny fant za granicę swych posiadłości.

Zaufany w swoje szczęście, puściłem się dalej i przybyłem do Kurzelowa, małej mieściny — lecz, o losie złowrogi! wjechawszy na rynek, zobaczyłem rozpalone ogniska i ćmę żołdaków w około. Basta! myślę sobie, teraz cię bratku nie wykpisz, teraz cię pewnie przycupią, widocznie feralny jakiś dzień. Ale z tem wszystkiem, myślę sobie, że wedle zwyczaju, oficerowie są zapewne we dworze, nie tracąc przeto fantazji, kazałem człowiekowi jechać do miejscowego proboszcza. Moskale nie podejrzywając w tak śmiało wjeżdżającym powstańca, nie zaczepili mnie nawet. Wchodzę do proboszcza, kontent z mego sprytu i widzę na kanapie... oficera moskiewskiego. Mimowolnie uśmiechnąłem się na taką ironię losu, witam wystraszonego bajecznie proboszcza i z dobrą miną zaczynam gawędkę, która, pomimo całej mojej elokwencji, niepodtrzymywana przez gospodarza, rwie się co chwila. Oficer zmierzył mnie od stóp do głów, ale do rozmowy wcale się nie mięszał, bawiąc się widocznie zakłopotaniem gospodarza i mojem gorączkowem gadulstwem. Naraz podnosi się i pyta mnie:

— Pan zkąd jest?

— Tutejszy oficjalista — odpowiadam.

— A pan zkąd jedzie obecnie?

— No — pomyślałem sobie — zaczyna się indagacja na dobre. — Z Łachowa, gdzie jeździłem za kupnem kartofli — odrzekłem głośno.

Pan oficer uśmiechnął się i umilkł — po chwili przerywa mi gawędkę, którą starałem się wszelkiemi siłami zawiązać i zwrócić na obojętny przedmiot, zapytaniem:

— Pan byłeś w powstaniu?

— Nie, nie czułem w sobie nigdy ani odpowiedniego męztwa, ani chęci.

— Słowo honoru pan może na to dać?

Takiego zagadnienia nie spodziewałem się — spostrzegł moje wahanie i ponownie mnie spytał:

— Słowo honoru, pan nie byłeś w powstaniu?

Rzecz stanęła ostro.

— Byłem — odrzekłem — a nawet powiem panu więcej, że obecnie tylko co wracam z powstania; możesz pan ze mną zrobić, co mu się podoba.

— A jak pan myślisz, co ja z panem zrobię?

— Przyznam się panu, że nie mam chęci bawić się w odgadywanie zagadek; przygotowany jestem na wszystko złe, dobrego bowiem spodziewać się nie mogę.

— Mylisz się pan — odrzekł oficer wyciągając ku mnie rękę i ściskając mnie serdecznie — próbowałem tylko pańskiego honoru i chciałem wiedzieć, kto pan jesteś właściwie i na co zasługujesz; oświadczam przeto panu, że jesteś wolnym zupełnie i nie podpadniesz żadnej odpowiedzialności. Wydam panu świadectwo, żeś się dobrowolnie stawił, z którem pojedziesz do Kielc dla wykonania przysięgi i odebrania paszportu na drogę. Gdybyś się pan był zaparł i dał na to słowo — ha! nie wiem, ale zdaje mi się, że byłbym się z panem obszedł jak z wielu pańskimi kolegami, po... jak wy nazywacie, barbarzyńsku.

Skłoniłem głowę przed tym łaskawym wyrokiem, dziękując mu za względy, do których nie miałem prawa, i obiecując się zastosować do instrukcji w zupełności. Księżyna uradowany szczęśliwym obrotem rzeczy tak się rozczulił, że postawił gąsior zapleśniały i ściskając nas po kolei, nie chciał wypuścić, dopóki się dno nie pokazało. Nazwisko tego oficera dziś mi wyszło z pamięci, ale było czysto moskiewskie i zdaje się, że służył w piechocie.

Taki był koniec mego rycerskiego zawodu. Rozwiązaniu nie towarzyszyła żadna smutna katastrofa, jakiej tylu innych mych kolegów i znajomych uległo. Uniknąłem szczęśliwie kuli, szubienicy, Sybiru i knutów kozackich; widocznie szczęśliwa gwiazda towarzyszyła mi przez cały ten czas i wyprowadzała mnie szczęśliwie z trudnych okoliczności. Pamiętam, że w ciągu mej wojaczki jednego tylko się bałem: być rannym. Być zabitym, niewielka rzecz, ale pozostać bez ręki, nogi, kaleką i niedołęgą na całe życie — to straszny los!

W ciągu niespełna dwóch tygodni po mojej aferze w Kurzelowie, tułające się tu i ówdzie resztki zostały wyłapane. Kolega mój, Karol R***, z którym wystraszyliśmy jelenia, wzięty został w uzbrojeniu, śpiąc w lesie; jakiś młody człowiek, którego nazwiska nie pamiętam, wpadł na kozaków pod Włoszczową i nie mając nadziei uciec, strzelił sobie w łeb; mała garstka, i to więcej skompromitowanych, których czekały katorgi lub stryczek, dostała się za granicę. Kozak Lotkin, pochwycony w chałupie gajowego, broniąc się, ubił pięścią żołnierza — został rozstrzelany. Anderlini, ostatni dowódzca oddziału, umknął szczęśliwie do Krakowa. Wszystkich tych, którzy nie zameldowali się dobrowolnie, a byli pochwyceni, naczelnik wojenny Bellegard kazał na miejscu złapania powieszać — i tych doraźnych wyroków w ciągu paru tygodni spełniono 60! Najwięcej padło ofiarą z oddziału Bogusza i Rudowskiego, który ze swoją piechotą trzymał się prawie do maja, w Samsonowskich lasach koło Suchedniowa.

W innych częściach kraju, oprócz słaniających się tu i ówdzie pojedyńczych żandarmów, ze zbrojnego powstania i śladu nie pozostało. W Podlaskiem tylko ksiądz Brzosko z kilkunastoma ludźmi trzymał się w niedostępnych miejscach, zawdzięczając to jedynie chłopstwu, na których miał wielki wpływ. Za to Moskale swobodnie i z niezmordowaną cierpliwością kata, zaczęli rozwijać swoje śledztwa, indagacje, nakładać kontrybucje i urządzać byt włościan, rujnując systematycznie szlachtę, jako żywioł niedający się niczem ugłaskać i będący tem samem powodem do ciągłych zaburzeń i buntów, wstrętnych dla duszy każdego Moskala, nieprzywykłego do samoistności i nieprzypuszczającego nawet, aby mógł o swoich siłach i bez powodyra ten świat toczyć swoje dzieje.

W kilka dni po wypadku w Kurzelowie udałem się do Kielc i zameldowałem się Bentkowskiemu, naczelnikowi wojennemu; zaprowadzono mnie do przysięgi i w godzinę wręczono paszport. Obecny temu naczelnik żandarmów wypalił mi długie kazanie z życzliwą radą, abym takowego nigdy nie zapomniał w interesie moim własnym. Przeszedłszy tę łaźnię, wyleciałem z groźnego biura jak z procy, a nie dowierzając zupełnie tej łaskawości, przedewszystkiem zamówiłem sobie miejsce w kurjerce. W dwie godziny byłem już w drodze, a na drugi dzień, po 15 miesiącach awanturniczego żywota, znalazłem się w domu rodzicielskim cały i zdrów.

Tak kończę opis moich wypadków, z tem przekonaniem, że pobicie i pokonanie nas przez wroga w r. 1863 nie stanowi jeszcze o naszych losach i naszej przyszłości. Są w nas siły, których nie spożyją wrogowie nasi.

KONIEC.

FRANK LESLIE.

Imię to przybrane znakomitego artysty i milionera. Ale nim do rozgłosu imienia swego w świecie artystycznym, a do milionów w finansowym doszedł, ojciec jego, lubo nie galicyjski, lecz angielski mieszczanin, zwykł był mruczeć niechętnie:

„Artysta! artysta! co to za stworzenie? Majątku nie zrobi, przyszłości nie zdobędzie.“

A jednak stało się inaczej. Frank Leslie nietylko zdobył przyszłość, ale potrafił ją zapewnić setkom innych rodzin. Frank Leslie jest założycielem dziesięciu najbardziej rozpowszechnionych, najznakomitszych i najpoczytniejszych czasopism amerykańskich. Człowiek ten odznaczał się nietylko niezwykłemi zdolnościami umysłowemi, ale i niezwykłą energią.

Kiedy przyszedł na świat, nazywał się inaczej, nazwisko bowiem Leslie jest pseudonimem, ale pod tem jedynie imieniem zna go Nowy Jork i zalicza do najpoważniejszych i najmajętniejszych swoich obywateli.

Frank Leslie urodził się w Ipswich, w Anglji, w roku 1821 dnia 29. marca. Na chrzcie otrzymał imię Henryk, a po ojcu Carter. Samodzielność doprowadziła go do tego, że w końcu nawet imię sobie samemu tylko zawdzięcza.

Ojciec Franka, p. Carter, był zamożnym fabrykantem rękawiczek. Kwitnący rozwój tego przedsiębiorstwa zapewniał całej rodzinie dobrobyt w całem znaczeniu tego słowa. To też p. Carter widział i syna swego przyszłość tylko w swoim zawodzie, kształcił go zatem wszechstronnie na fabrykanta. Tymczasem skłonność chłopaka, jakby na złość marzeniom ojcowskim o milionach, które miały być zdobyte jedynie za pośrednictwem wyrobów białoskórniczych, skłonność ta, jak mówimy, parła chłopca w innym kierunku. Kierunek ten zmierzał w prostej linji najprzód po za „szkołę“. Nie zła wola i nie wybryk wszelako wiodły tam Franka czyli Henryka. Ale było tak: Często całemi godzinami zatrzymywał się przed wystawą wyrobów tokarskich. Porwany zmysłem podziwu dla piękna, gapił się chłopiec studjując misterne naprzykład figurki szachów. Skoro wrócił do domu, chwytał najnieodpowiedniejsze narzędzia ostre, by niemi wykroić coś podobnego, jak widział, i coś tak pięknego, czego nie widział, a o czem miał przeczucie.

Nie koniec na tem. Innym razem znowu, zneciły jego oko wyroby jubilerskie i znowu się gapił i znowu cierpiało na tem wykształcenie w zawodzie, do którego był przez ojca zniewalany. Wystawy obrazów miały w Franku jeszcze zapaleńszego wielbiciela. Pojenie się tą atmosferą artystyczną doprowadziło nakoni-c do katastrofy — wszelako nie krwawej. Frank przypatrywał się, chodził, szperał, pocił, dopóty, dopóki mu się nie udało wyryć na miedzi herbu miasta rodzinnego. Wprawił w zdumienie profesora szkoły w Ipswich. Wobec wszystkich uczniów odezwał się profesor:

„Chłopca tego czeka znakomita przyszłość w świecie artystycznym!“

Wykrzyknik ten, skoro doszedł do uszu realistycznego fabrykanta, pana Cartera, odjął mu resztę cierpliwości.

„Błazen jakiś!“ — mruknął zniecierpliwiony fabrykant.

Młody adept sztuki przyjął to połajanie jako zwrócone do siebie, lubo ono skierowane było do nieobecnych uszu profesora. Dalsze konsekwencje złego humoru poczciwego mieszczanina ipswichskiego były takie, iż sobie powiedział:

„Artysta! stworzenie bez pożytku; fabrykant milionowy, to dopiero potęga! I czemuby syn mój nie miał zostać tą potęgą? Musi zostać!“

Rzekłszy sobie tak, znowu myślał. Nakoniec przypomina sobie, że ma w Londynie szwagra, kupca hurtownika, p. Elliston. Klapnął się więc potężnie ręką po czole i zdecydował, że niezdarnego syna, podówczas już siedmnastoletniego, najlepiej odesłać na praktykę do kantoru wuja.

„Cyfry wyleczą go z tej choroby.“

Zobaczymy, jak go cyfry wyleczyły. Stolica Anglji, zamiast tłumić żądzę artystyczną, podsycała ją we Franku do niebywałej dotąd potęgi.

Podówczas właśnie rozpoczęto w Londynie wydawnictwo na wielką skalę illustrowanego czasopisma, do dziś istniejącego, pod tytułem *Illustradet London News*. Frank chwytał chciwie każdy świeży numer. Rozkoszował, tonąc całą duszą w obrazach, przedstawianych w illustracjach. W pierwszej chwili był przerażony, gdy pomyślał, jak wielkiej potrzeba wprawy,

żeby podać choć jeden popobny szkic oryginalny, któryby redakcja uznała za godny pomieszczenia. Zwolna jednak, oswojony z widokiem coraz lepszych reprodukcyj, mówił sobie, że przecież sprobuje, popracuje i potrafi też samo.

Jakoż nie namyślał się długo. Począł rytować i posłał redakcji kilka szkiców, podpisanych *Frank Leslie*. Odniósł zwycięztwo — szkice pomieszczono.

Odtąd, ciągle pod powyższym pseudonymem, zasypywał rysunkami *Illustr. Lond News* i widział, jak je pomieszczano obok prac takich potęg, jak Linton i Landell.

Frank Leslie, który romantyczny swój pseudonym wybrał z jakiegoś romansu, skoro się doczekał pełnoletności, porzucił natychmiast posadę w kantorze wuja. Krokiem tym zrywał wszelkie stosunki z rodziną. Stary ojciec łajał go, ale już tylko listownie. Sens moralny zrzędzenia piśmiennego był: jak sobie pościelesz, tak się wyspisz.

Frank tymczasem nie myślał tak prędko spać. Pozostawszy w Londynie, z imieniem już dobrze zapisanem w redakcji pierwszorzędnego czasopisma illustrowanego, zwrócił się tam, by zawiązać z pismem bezpośrednie stosunki. Nietylko, że mu się to udało, ale doszło nawet do mianowania Franka Leslie kierownikiem w departamencie illustracyjnym czasopisma. Na stanowisku tem poznał Frank wszechstronnie wszelkie warunki takiego organu.

Duch jednak przedsiębiorczy nie pozwalał spocząć Frankowi Leslie. Marzył. Z tą wszakże różnicą, że kiedy inni lubują się marzeniem lata całe i na wcielenie idei nie starczy im później sił i życia, Frank marzył niedługo, a prędko od powziętej idei przechodził do zrealizowania jej. Marzeniem jego było: założyć podobne pismo, jak londyńskie illustrowane, w Nowym Jorku. W tym celu odbył tam podróż w roku 1848. Poprzedziła go sława i rozgłos, jakie zyskało imię Franka Leslie.

Ale tu właśnie nowy kłopot. Znano Franka Leslie, a nie znano bynajmniej Henryka Carter. Musiał u władzy prawodawczej wyjednywać sobie pozwolenie noszenia odtąd i w prywatnych stosunkach imienia Frank Leslie.

Pod tem też nazwiskiem wszedł jako stały współpracownik illustracji *Gleasons Pictorial*. Pismo podniosło się za jednym zamachem i zyskało wziętość. Dotychczas pisma illustrowane amerykańskie posługiwały się przeważnie kliszami reprodukcyj europejskich, Leslie pierwszy otworzył szereg szkiców oryginalnych.

W roku 1854 wystąpił Leslie jako samodzielny wydawca czasopisma illustrowanego dla kobiet, pod tytułem *Gazette of Fashion*, które następnie i do dziś dnia wychodzi pod tytułem *Lady's Magazine*. Był to środek do celu. Chodziło mu o pozyskanie kapitału na założenie wielkiego pisma. Sprzedał zatem wydawnictwo i założył: *Frank Leslie's Illustraded Newspaper*, które w roku bieżącym, przeżywszy swego założyciela, obchodzić może 25 letni jubileusz rozgłośnego żywota. Pierwszy numer tego czasopisma wyszedł w grudniu roku 1855, upłynie więc w grudniu roku bieżącego 25 lat.

W pierwszym roku walczył ciężko, żeby podtrzymać egzystencję pisma. Skoro zwietrzono, że Leslie nie ma kapitału odpowiedniego, zamknięto mu kredyt, tak dalece, że z trudnością opędzał koszta papieru. Śmiertelne poty znosił artysta co sobotę, jako w dniach wypłat. Na szczęście miał przyjaciela, który mu w tych krytycznych chwilach przybiegał z pomocą. I ten wszelako poczynał wątpić. Zaliczył raz na wypłatę pieniądze przez dwie soboty z rzędu. Kiedy i w trzecim tygodniu brakło pieniędzy, otworzył przyjaciel kieskę, ale dodał:

— Mój kochany Leslie, czy nie byłoby lepiej dać pokój temu wydawnictwu?

Łagodna ta uwaga okropnie zirytowała naszego artystę. O chwili tej, mówi sam Leslie:

— Był to cios najcięższy, jaki mię w życiu spotkał. Gdyby mi mój przyjaciel był stanowczo odmówił pomocy, albo odezwał się ostrzej, byłaby się we mnie ocknęła energja, która mię nigdy nie opuszczała, ale uprzejmość jego, ale pytanie takie odbierające nadzieję, zdenerwowało mię na chwilę. Los zrządził, że wkrótce, bo zaraz w kilka dni zaszedł wypadek w Nowym Jorku, z którego Leslie umiał skorzystać. Opowiada o tem sam:

— W kilka dni potem rano, budzi mię wołanie chłopca roznoszącego gazety. Opowiada mi z przerażeniem o okropnem morderstwie. Dentysta dr. Burdell został w tajemniczy a okropny sposób zamordowany. Wypadek ten, właśnie wskutek towarzyszących mu tajemniczych okoliczności, nabrał niezwykłego rozgłosu i rozruszał publiczność nowojorską. Policja ledwo zdołała z trudem zniewolić tłumy do ustąpienia z przed mieszkania doktora. Wypadek ten wyzyskałem. Przysposobiłem niezwłocznie szkice, przedstawiające szczegóły całego zajścia i podałem pod prasę. Rozchwytywano czasopismo w niezmiernej ilości egzemplarzy, a gdy się wzburzenie i zajęcie uśmierzyło, miałem już pokaźną cyfrę zwolenników stałych. Odtąd byłem spokojny o los przedsiębiorstwa.

Gdy pismo zyskało popularność, Leslie sprzedał je znowu, w r. 1865. Nie czynił tego wyłącznie dla zysku, gdyż we wszystkich nowych wydawnictwach, które podejmował, był nietylko wydawcą, ale i głównym redaktorem. Prace wszelkie nosiły piętno jego duszy niezmordowanej, jego ducha ciągle twórczego. Następnem zaraz czasopismem, był dziennik illustrowany, poświęcony rodzinom pod tytułem *The Chimney Corner*. Posypały się później jak z rogu obfitości inne, aż do liczby dziesięciu. Kierownikiem tych pism, nader gorliwym, był sam Leslie aż do ostatniej chwili, do roku 1880, w którym zgasł przedwcześnie.

Żona jego była równie redaktorką dwóch czasopism dla kobiet, założonych przez męża.

Opró z pism perjodycznych, wydał Leslie mnóstwo romansów i dzieł o podróżach, w ogóle, cokolwiek miało wartość artystyczną, znajdowało w nim wydawcę gorliwego. Pomnikowem dziełem wystawy filadelfijskiej nazwać można wydane przezeń o wystawie „Historical Register of the Centennial Exposition."

Frank Leslie lubił szkice i rysunki obudzające sensację, ale przytem starał się, ażeby sensacyjnemu obrazowi nadać jak najwyższą zaletę artystyczną.

W jego zakładzie rysowniczym i drzeworytniczym pracowało zwykle przeszło 300 osób. Był zaś wszędzie sam, wszędzie gotów do pomocy i rady. Uszczęśliwiony był zawsze, gdy widział, że uczeń jego zakładu dochodził do poczucia i smaku artystycznego, gdy zdobywał precyzję w technice. Wielkie illustracje, które wykonywane bywają w ciągu dwóch tygodni, u Leslie'a wykonywały się przez noc. Rozdzielał on bowiem płytę na 32 sztuk równomiernych i rozdawał 32 drzeworytnikom, którzy z łatwością kończyli pracę, wcale nieposlednią.

W ten sposób, zdarzenia dnia dzisiejszego, przeniesione ołówkiem na płytę bukszpanu, pojawiały się nazajutrz przedstawione w obrazie, artystycznie wykonanym.

— Moi artyści, tak się odzywał do rysowników i drzeworytników, moi artyści, muszą być artystami samodzielnymi, nie naśladowcami.

Dobroć i słodycz, z jaką postępował z licznym zastępem swoich współpracowników i robotników, zjednały mu tytuł „dobrotliwego ojca". Starszym niezdolnym już do pracy, zapewniał byt do śmierci, nad chorymi czuwał, jak ojciec.

Ilekroć odbył podróż do Europy, powracał zawsze obładowany najrozmaitszemi prezentami. Mawiał wtedy:

— To dla moich artystów.

W wolnych od zajęć chwilach, lubo ich miał nie wiele, poświęcał się malarstwu. Zagraniczni sprawozdawcy utrzymują, że gdyby Leslie był poszedł w tym kierunku i był używał tylko pędzla i palety, to świat byłby dostał jednego więcej genjalnego malarza.

Nie sprawdziły się utyskiwania poczciwego fabrykanta, który z lekceważeniem odzywał się o zamiłowaniu do sztuki i o sztuce.

Frank Leslie i majątek zrobił i przyszłość zdobył, nietylko doczesną, obfitą w wygody dla swojej rodziny i mnóstwa ludzi, którym dał zajęcie, ale nadewszystko sobie zdobył imię nieśmiertelne.

Frank Leslie był mężczyzną pięknym, wysokim, silnie zbudowanym, nadzwyczaj wytrwałym, tak że nic nie zapowiadało śmierci w sześćdziesiątym roku życia. Chorował ledwo trzy tygodnie i zgasł pozostawiając żal rodzinie i ludziom, których był opiekunem.

Żonę zrobił uniwersalną dziedziczką miljonowego majątku i wszystkich przedsiębiorstw.

KWIAT WYGNANIEC

wiersz ofiarowany Karolowi Brzozowskiemu.

Naszedł raz kwiatek botanik,
I pilne zwrócił nań oko:
Kwiatek miał krasny kaftanik
I kielich nosił wysoko.

Tą samą barwą się płonił,
Tym samym słaniał się kształtem,
Tak samo wonie swe trwonił,
Jak inne kwiaty ryczałtem.

A przecie woń tego kwiata
Tak dziwnie upajająca,
Jak gdyby z innego świata,
Jakby oddechem tęskniąca.

Wonią się różnił jedynie
Śród lśniących kwiatami błamów;
Jak gdyby w innej krainie
W kielich zaczerpnął balsamów.

A więc botanik uczony
Bacznej go poddał uwadze;
Mówiąc: ten kwiatek barwiony
Naszej urąga powadze.

Ta sama ilość pałeczek,
I ten sam słupków porządek,
Tak samo tkany listeczek
Jak innych kwiatów z tych grządek.

A przecie wonią się różni
W stubarwnym wszech kwiatów tłumie,
Tak jak dalecy podróżni:
Mówią — lecz nikt nie rozumie.

Słowa — to tylko są słowa;
Różność ich leży w ich rzucie:
Barwa — to kwiatów wymowa,
Lecz woń — to kwiatów uczucie.

Badacz na formę nie baczy
Rdzeń z niej dobywszy troskliwie:
Ten kwiatek czuje inaczej,
A więc jest obcym w tej niwie.

Nową mu trzeba dać klasę,
By w nauk ująć go kraniec;
Więc choć jednaką ma krasę,
Nazwę go — kwiatek wygnaniec.

I monografię ułożę
Tej osobliwej rośliny:
Że z wichrem przyszła przez morze,
I padła w obce doliny.

I zmianom kształtów uległa,
Barwą do słońca się śmieje...
Lecz jednej cechy ustrzegła,
I wonią mówi: boleję!

I co rok w dobie jesiennej
Ziarna ma pełne obsłony;
Czeka aż wicher je zmienny
Zwieje w ojczyste znów strony.

Gdy jedno ziarno w rodzinnej
Przyjmie napowrót się grzędzie:
Tutaj na niwie gościnnej
Już więcej kwitnąć nie będzie.

Józef Kościelski.

Bertholdstein 8.8.80.

JASKÓŁKA

NOWELLA

LEONA SAMSONOWA

(przekład z rosyjskiego).

(Ciąg dalszy.)

Z dniem każdym co raz gorzej. Nie widziałem nic przed sobą; żadnej z nikąd nadziei. Nie wiedziałem już co począć. Wypadało łatać o ile możności. Ale jak tu łatać i z czego, gdy wszyscy w jednakowej biedzie? Tej syn zabity, owa męża straciła, ten znów lata po mieście, ażeby samemu dostać choćby 15 kopejek na obiad, więc do kogoż się udać?... Jedyna nadzieja na handełesa; a nuż przyjdzie i kupi coś ze starzyzny.

Nawet dzieweczka moja czegoś posmutniała. Już nie słychać dźwięcznego jej śmiechu. Siedzi cichutko główkę na bok skłoniwszy i uśmiecha się smutnie. Co ci jest, dzieweczko moja?... Może cię główka boli?

Dotknąłem się główki, gorąca. Boli cię? Boli — odpowiada cicho. Dałem jej na noc wody gorzkiej, wypiła.

Nazajutrz żadnej zmiany, główka wciąż rozpalona.

Posłałem po doktora. Dziecińatwo powiada, nic jej nie będzie; powtórz pan wczorajsze lekarstwo i daj oto te nowe. Febra. Jutro wstąpię do pana.

Dwa ruble w łapę.

Nie zajechał nazajutrz. Czekałem do wieczora, nie ma. Posłałem niańkę do niego: Jutro z rana przyjedzie.

Przyjechał: — To zdaje się odra... Pozamykać okna, a oto recepta.

Dwa ruble w łapę. Niańce wydany rozkaz: pozamykać wszystkie okna i sprowadzić żydów, handełesów.

Walizę i kufry co raz więcej próżne, a dzieweczce mojej jak gorzej tak gorzej.

— O Boże mój, Boże!... woła słabym głosem leżąc w łóżeczku.

Zmieniłem doktora: — Toż to tyfus plamisty!... jakby piorun padł przed nami. Czyż nie widzicie państwo tych plamek?... Oto recepta. Wszystkie okna na oścież otworzyć, powietrza co najwięcej... naturalnie byle tylko nie było przeciągu... Proszę jej nie całować, bo inaczej możecie państwo sami się zarazić... Zajadę wieczorem...

Zajechał: — Tak tak, to rzeczywiście tyfus plamisty! — Dobył termometru, włożył dzieweczce pod pachę, ciepłota podwyższona ogromnie.

— Dla spokojności państwa, radziłbym konsilium.

— Kogoż mamy prosić?

— Kogo państwu się podoba. Doktor N. N. cieszy się wielką wziętością.

Pojechałem do doktora N. N. Oglądali, przewracali, wkładali termometr pod pachy. Zlękło się dziecko i woła: — Tatu, tatu, nie trzeba tej rureczki!

»Wielce wzięty« doktor, długo się wsłuchiwał w bok lewy i w oddech w piersiach; nareszcie wstał z łóżeczka i strzepnął palcami. Serce mi zamarło... Recepty nie zmienił, kazał tylko robić okłady: zimne na główkę, a gorące na całą pierś. Ostrzyżono włoski dzieweczce mojej. Piątego dnia straciła przytomność, nie poznawała już nas... Nie bacząc na zakaz doktorski, całowaliśmy ją po twarzy, po rączkach, po nóżkach...

Raz w nocy zerwała się z łóżeczka w jednej koszulinie i chciała gdzieś biedz. Co ci, co ci moje dziecko jedyne? Niuniu, Niunieczku, leż, leż spokojnie dziecię nasze drogie! błagaliśmy z żoną, zaledwie we dwoje mogąc utrzymać półczwartoletnie dziecko.

— Ptaszek, oczy, pająk... aj Boże mój, Boże!... wołało nieszczęśliwe dziecko.

Nie spaliśmy całych sześć nocy. Mienialiśmy się z Leneczką ciągle: »zaśnij ty od dwunastej do drugiej, a od drugiej do czwartej ja spać będę«. Ale nie sposób zasnąć! Zaledwie człowiek oczy zmruży, wnet, jakby go kto kułakiem w bok szturknął, zrywa się przestraszony i leci zobaczyć do łóżeczka. Nic, wszystko spokojnie; lampa z zasłoną pali się na stole. Oczy dziecka otwarte, patrzą... i nie poznają! Zmienisz bywało kompres na świeży, dasz lekarstwo, i odchodzisz smutny...

— Jeżeli jutro zaśnie, to będzie uratowaną. Pilnujcie państwo, ażeby najmniejszego hałasu nie było.

Usnęła! Radość nasza nie znała granic.

— Może muchy jej dokuczają, mówimy szeptem jedno do drugiego z Leneczką, stojąc w sieniach.

— Wiesz co, pójdę ją muślinem przykryję.

— Przykryj, przykryj; ale tylko po cichutku, tylko po cichutku... A co, już?

— Już.

— I spi?

— Spi.

— Chwałaż tobie Boże, chwałaż tobie Boże!

Przyjechał doktor; wyszedłem do niego aż na podwórze: Spi? — spi.

— Od jak dawna? — Już z ośm godzin, jak usnęła.

— Głowę moją daję w zakład, że będzie żyć z pewnością. Przygotujcie jej na jutro coś tak lekkiego... kaszkę... Apetyt będzie miała wilczy.

Powróciłem do pokoju. — Pst!... daje znak Leneczka, kładąc palec na ustach — spi jeszcze!

— Chwała Panu Bogu!

Leneczce już sił brakowało. Osłabła zupełnie; zamiast czterech nakłuć dziennie, musiałem ośm robić.

Około godziny piątej wieczorem dostrzegliśmy, że się poruszyła. Zdjęliśmy ostrożnie muślin — oczęta przytomnie patrzą...

— Tato... mama!... — zawołała tak cicho, jakby komarek zabrzęczał.

— Ach dziecię ty moje!... przypadła do niej Leneczka.

Stałem w milczeniu patrząc na tę scenę, a łzy jak groch bujne toczyły mi się po twarzy. Daliśmy łyżkę jakiegoś lekarstwa, poczem znów usnęła. Nazajutrz z rana zjadła dwie łyżeczki kaszki z mlekiem. Dziękiż tobie panie, o dzięki!... Aż poszedłem z wielkiej radości do szyneczku naszego i palnąłem kieliszek wódki na kredyt.

— No, jakże, lepiej już waszemu dziecku? pyta ciekawie gospodarz, podoficer dymisjonowany.

— Lepiej, lepiej! Będzie żyła. Spała przez calutkie godzin czternaście!... Dajcie-no jeszcze kufeleczek piwa.

— Ot w naszym pułku u kapitana, było raz zupełnie tak samo...

Z przyjemnością wysłuchałem całej relacji, co tam raz było u kapitana.

— No, a jakże będzie z teatrem? czy znów będziecie grać?

— Nie, nie będziemy.

— Byli tu dziś koledzy pańscy i rozmawiali... Mówili, że przyjdzie sześć całych nowych pułków... przez całe dwa tygodnie stać będą... Nie rusz, czego tam rozlewasz! — krzyknął na córkę dziesięcioletnią i palnął ją po plecach. — Mówili... powiadam panu, że sześć całych nowych pułków przyjdzie...

— Nic o tem nie słyszałem.

Pobiegłem do domu. Niunieczka patrzy na mnie serdecznie i uśmiecha się.

— Ta-tu, weź mię na ręce... — zabrzęczał komarek.

Wziąłem, ponosiłem ją trochę, a potem znów położyłem. Leży i spogląda spokojnie.

— Buty, buty, tato... buty!...

Boże, myślę w przerażeniu, czyżby znów poczynała bredzić!

— Buty wyczyść!

Patrzę na moje buty — całe zakurzone.

— Proszę pana! — woła mnie niańka.

— A co tam?

— Żyd przyszedł.

— A pani co robi?

— Gotuje kaszkę dla panienki.

— A gdzież mleka dostałyście?

— Wzięłam na kredyt u żyda. *Russkij* nie dał, a żyd powiedział: panu Samsonowowi zawsze można skredytować — i dał.

Przedaliśmy jeszcze coś z rzeczy... Ale co tam rzeczy! Pal ich kaci, byle dzieweczka była zdrowa!

Licho mnie poniosło do ogrodu publicznego. Około teatru stoją aktorowie, aktorki... Ale co tam długo gadać — dość że namówili mnie, ażebym znów grał.

— Taka bieda, że aż strach; każdy teraz grosz jest dla nas zbawieniem, itd.

— Niech was kaci porwą! A mnie, to nibyto lepiej! Tyle tylko różnicy, że wierzą mi i mam kredyt w sklepiku u żyda. Zasłużcie na toż samo, to i wam tak będzie.

Zgodziłem się grać rolę, która nawet nie była moją. Obiecałem, że wystąpię w »Baalu« Pisiemskiego.

Do przedstawienia zostawało jeszcze trzy dni. Dziewczynka coś nie je kaszki i wciąż się uskarża Leneczce:

— Mamo, ja się zsuwam... oprzyj mi o co nóżki... podstaw cokolwiek...

Czytam rolę adwokata w »Baalu«, a oczy coraz to spoglądają na Niunię. Co się z nią stało; zdaje się, jakby wyrosła? Ależ ona istotnie wyrosła... A snu żadnego. Głos coraz słabszy. I dniem i nocą wciąż woła:

— Tatu, weź mnie na ręce!...— Biorę; zaledwie wziąłem, aż tu: — Mamo, weź ty mnie na ręce!... — Zaniosę ją do mego łóżka, zaraz: — Nie, do mamy!... Zaniosę do mamy, woła znów, ażebym do swego położył, i tak bez ustanku.

Co jej takiego! człowiek w głowę zachodzi — a wtem gdy spojrzę na żonę! — nie poznałem. Z kobiety cień tylko pozostał. Zadrżałem. Poznałem nagle, że okropne jakieś nieszczęście lada chwila uderzy we mnie. Trzymaj się, trzymaj się mocno! bo cię złamie i zniweczy.

Nadszedł nareszcie na zawsze pamiętny dla mnie dzień przedstawienia «Baala». Wziąłem zawiniąteczko moje z przyborami, pocałowałem żonę i dziecko i ruszam do teatru.

— Ta-tu, czy będziesz dziś staruszkiem?

— Nie, moje drogie dziecko, będę w bokobrodach; ot takie duże!...

Uśmiechnęła się dzieweczka.

W domu *ani grosika*. Poszedłem na piechotę; to nic, że daleko. Spodziewałem się sum bajońskich od teatru, a w razie niedopisania teatru, od żydów. Około kasy tłoczą się aktorowie.

— No, ileż tam macie?

— Dwadzieścia dwa ruble wszystkiego, a wydatków piędziesiąt dwa.

— No, ale jeszcze czas, może publiczności więcej się jeszcze zbierze.

Rola moja zaczynała się w drugim akcie; podczas więc pierwszego począłem się charakteryzować. Wtem wchodzi jeden z aktorów i powiada:

— Leonie Mikołajewiczu, niańka od was przyszła i chce się z wami widzieć.

— Co tam takiego?

— Nie wiem.

Wyszedłem do niańki.

— Ach, proszę pana, z panią bardzo źle! Kazała pana zawołać.

— Dobrze, zaraz tam będę.

Tak jak byłem w bokobrodach, nablanszowany i narumieniony, lecę do kasy.

— Ile w kasie?

— Piędziesiąt.

Akt pierwszy już się rozpoczął; sądziłem, że będę mógł wziąć czterdzieści kopiejek na fiakra — a tu nie ma z czego.

Poprosiłem kasjera, ażeby reżyser kazał coś dłuższego grać orkiestrze podczas antraktu i kłusem pędzę do domu, potykając się w ciemnych ulicach, to o jakiś słupek, to o coś innego...

Żona wiła się na ziemi w najokropniejszych kurczach.

— Co ci?

— Ach boli... tu, pod łyżeczką!...

— Jeszcze przed pięciu dniami mówiłem ci, pij wodę pilnawską. Poczekaj, zaraz ci zapuszczę morfinę; może ci lepiej będzie, a potem ci wodę przyniosę...

A za jakie pieniądze przyniosę! sam nie wiem...

Zaczekałem kilka minut; żona istotnie się uspokoiła. Poszedłem zobaczyć, co się dzieje z Niunieczką.

— Ta-tu, na ręce... — prosi mię głosem słabiutkim!

— Dziecię ty moje, nie mogę; trzeba do teatru spieszyć, niania cię weźmie... Masza, weź panienkę na ręce!

O jak smutnie i miłośnie zarazem spojrzała na mnie dzieweczka moja!...

Znów kłusem do teatru. Koszula jak z wody wyjęta. Akt pierwszy już się skończył, orkiestra także skończyła. Odkleił się jeden bokobrod. — Dawajcie czem przykleić. — Popsuła się fryzura na głowie, trzeba naprawić... — A niech ją piorun trzaśnie, wszystko jedno, zaczynajmy!

Wywołano mnie dwa razy; brawo, brawissimo!... aż się teatr trząsł. W antrakcie podchodzi artystka N. J. Stepanowa, dla której mam najgłębszy szacunek i patrząc na mnie jakoś żałośnie, powiada:

— Leonie Mikołajewiczu, jedźcie wy lepiej do domu; u was tam coś niedobrego. My już tu bez was jakoś poradzimy... Przerwiemy przedstawienie, i przeprosimy publiczność, ot chociażby pod pretekstem żeście zachorowali nagle.

— Jakto coś nie dobrego. Tylko co byłem w domu, żona przyszła do siebie, a Niuni nic gorszego. Czy nie masz pani papierosa; zapomniałem moje w domu.

Dała mi papierosa i odeszła. Wchodzę do garderoby. Zaledwiem wszedł, koledzy zamilkli. — Bazylku, zwracam się do Sacharowa, nieźleby teraz choćby piwa buteleczkę (Bazylek — to Niuni cukiereczek; my znim na »pan«, lecz kolosa tego często nazywam Bazylkiem). — Taka jest rzecz — poczyna prawić Bazylek, rozstawiwszy palce według swego zwyczaju — taka jest rzecz: lepiejby wam Lwie Mikołajewiczu do domu zaglądnąć. — Tfu, czyście się zprzysięgli na mnie, czy co?!... I ten mnie wysyła do domu! po co?. — Ależ tam w domu u was... — Ale wybijcież sobie z głowy, nie bójcie się niczego; właśnie tylko co tam byłem i wszystko chwała Bogu nie źle, a zresztą jakże będzie z przedstawieniem?... jakoś nie wypada... — Bierz licho przeklęte przedstawienie! — wrzasnął Bazylek. Wszystkiego 80 rubli, zwrócimy publiczności, a z kosztami jakoś to będzie. — Ale doprawdy Lwie Mikołajewiczu, —poczęli wołać inni — jeżeli już tak się zdarzyło... co tam przedstawienie!... jedźcie do domu... — Ale cóż tak strasznego?... — Helena Rodionowa ma się gorzej... czy warto dla jakichś tam głupich pięćdziesięciu!... Idź pan do domu!...

— Czyście powarjowali?!... Słyszycie, orkiestra przestała grać... Powiadam wam, że przed pół godziną byłem w domu!... Gdzie zeszyt? Wołajcie suflera.

— Ale przynajmniej akt czwarty niech się bez was obejdzie, Lwie Mikołajewiczu. Jedźcie do domu.

— Powiadam wam, że tylko co byłem w domu. No, chodźcie; słyszycie jak stukają? Publiczność się niecierpliwi.

— Leonie Mikołajewiczu, drogi nasz, kochany! *wracaj do domu. Trzeba* ażebyś był w domu... Postaramy się i bez was dokończyć.. Jedźcie do domu!...

Wtem musi coś być! myślę sobie, i nareszcie powiadam:

— No, jeżeliście tacy poczciwi, to dobrze; pójdę po akcie trzecim do domu, a wy z czwartym jak możecie, ładźcie. Niech podniosą kurtynę.

Pewnie, myślę sobie, Leneczce znów się pogorszyło i musiał ktoś dać im znać o tem.

Akt trzeci, wychodzę na scenę. Pomiędzy publicznością i za kulisami, dały się słyszeć jakieś szepty, i wszyscy patrzą na mnie. Co takiego? myślę sobie; może mój kostjum w nieporządku, może się coś

rozpięło? Ale nie, wszystko jak należy. Poczynam z werwą (umiałem rolę) — cisza grobowa! Skończyłem. — Nikt ani się poruszył. Zdaje się, iż wcale nieźle grałem, a tu a ni jednego oklasku; co się to zrobiło?... Ale co tam, Bóg znimi!...

Przebrałem się, zawiniątko pod pachę i do domu.

— Leonie Mikołajewiczu, lepiej będzie, gdy zwami Gradów pojedzie, znów czepia się Sacharów.

— A to po co? — Trzeba może będzie do apteki... czy co takiego...— A Masza od czego?— Co tam Masza! Masza będzie przy Niuni, wy przy żonie być musicie, i Gradow się przyda. Bóg wie co się może zdarzyć. — Ależ ja nie mam ani grosza na fiakra, dajcie mi pokój. — Ja zapłacę fiakra, woła Sacharów. Płać myślę sobie; przecież i tak winieneś mi pięć rubli.

Pojechaliśmy. Przyjechaliśmy na miejsce, poczynam żegnać się z Gradowym. — Eh, lepiej pójdę z wami, zajrzę co się tam u was dzieje — powiada Gradow. — Ależ nie potrzeba, po co się masz fatygować! dziękuję wam serdecznie!... Poszedłem, a on za mną; wchodzę na podwórze, a on ciągle za mną. A cóż to za natręt, myślę sobie; ani krzty delikatności!

Wchodzę, jakaś cisza, Masza łzy ociera... — A ty czego płaczesz?... — Milczy. Słyszę, Gradow wszedł do sieni i zatrzymał się.

A to ślicznie! — myślę sobie, nie być panem we własnym domu! Powiadam mu, żeby sobie szedł a ten lezie i lezie!..

Wchodzę do sypialnego pokoju. Na podłodze leżą poduszki, na nich leży żona, a dokoła niej stoją aktor Kijanów, pewna nauczycielka, sąsiadka nasza i Natalja Iwanówna Stepanowa.

— Co to takiego?...

Natalja Iwanówna tylko wskazała oczyma na łóżeczko. Leżała tam po dawnemu Niunieczka, ale jakaś taka bialutka — rzekłbyś, że z wosku jarzącego, a rączki złożyła na piersiach. Po co ona tak rączki złożyła? Uczułem jakby błyskawica osmaliła mi mózg.

— Umarła!...

Nikt nie odpowiedział. Milczeli i spoglądali tylko na mnie.

(Dokończenie nastąpi.)

WSPOMNIENIA LEKARZA

z wojny turecko-rosyjskiej w r. 1877 i 1878

przez

Dr. SOIKĘ.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Przerażający stan szpitalu. Przemyślny murzyn. Myszeizm. Hoszaf Effendi. Bajram. Dyżur lekarski.

Maltepe, przed laty trzydziestu na europejski sposób zbudowany i wszelkim sanitarnym warunkom odpowiadający szpital, był obliczony na przestrzeń obejmującą pięćset pięćdziesiąt, do sześciuset łóżek i nie pozostawiał nic do życzenia. Lecz skoro nieprzyjaciel zagnieździł się w St. Stefano, od Maltepe zaledwo na półtora godziny pieszej drogi oddalonej wsi, i gdy armia skupiła się naprzeciw nieprzyjacielskich pozycyj koło nas i głównych koszar Dahud baszy, to ponieważ nie było w okolicy żadnego innego szpitalu, przysyłano do nas wszystkich chorych i wszystkich maruderów. Skutkiem tego nastąpiło przeładowanie szpitalu w sposób przerażający. Już wychodźcy przynieśli z sobą zarody tyfusu, teraz wybuchła straszna epidemia tyfusowa i dysenterja, żywiona obozowaniem na polu wśród nagłej zmiany temperatury i częstych deszczów, niedostatecznem odżywianiem i ubraniem, płytkiem grzebaniem zwłok i brakiem doraźnej desinfekcji. Nie kule i pociski, ale dur i czerwonka dziesiątkowały wojska; jeden żołnierz po drugim kładł się na łoże boleści. Na domiar tej niewymownej grozy, potracili reprezentanci turbanu głowy, a rząd nie miał ani pieniędzy, ani stosownego miejsca na szybkie urządzenie szpitalu nowego. Wolne zabudowania i *moszeje* zostały zajęte przez rzeczonych dwa kroć stotysięcy rozprószeńców. Powszechna anarchja ogarnęła też nasz szpital. W jednem łóżku musiało leżeć po dwóch chorych, a dla uzyskania więcej miejsca, wyniesiono część łóżek i zasłano podłogę siennikami. Tym nowym sposobem leżało na dwóch siennikach pięciu chorych — dwóch pod jednym kocem. Wszak trudno było wśród zimy wyrzucić ich na drogę! Korytarze i schody były zapełnione pacjentami. Stan chorych wzrastał codzień, aż jednego dnia w lutym 1878 r. doszedł z 550 na 2.292. Mój oddział sam liczył przeszło 300 chorych. Nie pomagały żadne przedstawienia w seraskieracie, bo nie było chwilowo w kasie ani grosza. Nareszcie za zezwoleniem Dari Szury wydano rozkaz, ażeby do Maltepe przyjmować tylko ciężko słabych, a lekko chorych posyłać do Dahudbasza, gdzie zamieniono jedno skrzydło koszar na szpital prowizoryczny; lecz gdy i to się zapełniło wkrótce, przysyłano znowu do nas gromadami. Ponieważ noszy za brakło, żołnierze znosili chorych na swych barkach, jak to mówią na barana, na mundurach na wzór hamaków, na osłach, mułach i t. p. Naturalnie, iż wśród takich danych, istniejąca epidemia wzrastać musiała. Lekarze i służba kładli się po kolei. Wizyta w asystencji *eczarczi'ego* (aptekarza), *dżerraha* (felczera) i *ismatczi'ego* (sługi lekarskiego), u moich trzystu pacjentów była nader nużącą. Przy ostatniej setce ledwo już stałem na nogach, schylony, czołgając się po siennikach, lub wywracając się na chorych. Prócz rannych od pocisków, miałem znaczną liczbę z odmrożonemi nogami, dalej mnóstwo tyfusowych i cierpiących na dysenterję, oraz na inne przeróżne choroby. Taki prawdziwie opłakany chaos trwał przez pięć tygodni w miesiącu lutym i marcu. Dopiero, gdy utworzono trzy nowe szpitale z fabryk w sąsiedztwie, rzeczy wróciły u nas do pierwotnego stanu. Nawet olbrzymi dwupiątrowy okręt z wojny krymskiej umieszczono na Złotym Rogu i zamieniono na szpital. Stambuł liczył podówczas około 30.000 chorego wojska.

Nie brakowało w tak krytycznem położeniu rozśmieszających epizodów. W szpitalu znajdowało są wielu Arabów, czarnych jak Murzyni, a tak podobnych do siebie, jak dwóch Japończyków, których trudno rozeznać. Miałem jednego nie umiejącego po turecku, z odmrożonemi nogami. Leżał on na sienniku, a ponieważ mało było miejsca, tuż pod samem łóżkiem, na którem był złożony jeden ciężko chory na dysenterję. Raz w czasie mojej wizyty wyszczerzył swoje białe zęby, jak djabeł z pod łóżka i mówił coś po arabsku. Ponieważ jednak nie było żadnego tłómacza pod ręką, chcąc się poskarzyć radził sobie w ten sposób, iż wskazując na białego, leżącego nad nim na żelaznem piąterku, zatykał sobie nos, a potem kierował błyszczące oczy i czarne palce na swój siennik. Domyśliłem się o co mu chodziło, i kazalem go przenieść na miejsce wygodniejsze.

Nieodstępnym naszym towarzyszem były myszy, żywiące się okruchami i gnieżdżące się pod siennikami i poduszkami. Zdarzało się, że z ordynacyjnego arkusza, który każdy dostawał, zostawały tylko poogryzane strzępki. Trzymane na dyecie zwierzątka te buntowały się i niszczyły pod poduszką moje ordynacje i jakby na urąganie rubrykę dyet, domagając się szóstej, to jest pełnej porcji jedzenia. Podobnie zjadały zapisane lekarstwa, ale nie in natura, tylko in figura na papierze, które snać im służyły, bo rozmnożyły się zamiast wyginąć, co uważałem za naturalne, gdyż mając wyścielony żołądek receptami, były zaopatrzone w środki uniwersalne. Na szczury działało to inaczej. Dostawały one rodzaj spacerowego obłędu, przy których to przechadzkach gubiły trop i zasłużona zemsta dosięgała nieproszonych gości.

Chorzy podczas lekarskich odwiedzin wołali jak rozpieszczone dzieci »*hoszaf.*« Są to rodzynki gotowane w wodzie z cukrem, rodzaj kompotu, który spożywali ostudzony, jako ulubiony przysmak. Na pytanie »*na selsen*« (jak się masz), można było często usłyszeć lakoniczną odpowiedź: »*hoszaf effendi!*« którego też nie żałowałem. Muzułmanin, nieudolny Mehmet bej, wiedziony skąpstwem i egoizmem, żalił się przed miralajem, że narażam rząd turecki na znaczne wydatki; ale to mnie bardzo mało obchodziło w obec ludzkiego życia.

Lekarstwa nawet tak niesmaczne jak chinina i olej rycynowy, chorzy posłusznie wypijali wykrzywiając tylko twarze. Żądali jednak często lekarstwa czerwonego, prosząc »*kermesi illacz.*« Było to wino. Nie wiem, czy oszukiwali mnie, czy też pili w dobrej wierze, *że to illacz*, a nie napój zakazany jednym z pięciu przepisów koranu.

Trzeba wiedzieć, że mimiczne znaki twierdzenia i przeczenia są u Turków wręcz przeciwne europejskim. Gdy zatem Turek twierdził, poruszał głową w poziomej linii od strony prawej do lewej, a gdy przeczył, to kiwał głową w prostopadłym kierunku z dołu do góry — o czem z początku nie uwiadomiony, nie mogłem chorych rozumieć. Dopiero *terczіman* wykrywał następnego dnia omyłki, dotyczące spraw wewnętrznych zgłodniałego żołądka.

W dzień bajramu, święto obchodzone z uroczystością naszej wielkanocy, zostałem udarowany przez moich pacjentów zbiorem różnych cukrów i cygar. Pierwsze miały wyobrażać słodycz życia, drugie rozpraszać chmury trosk. Przewodniczący deputacji, która przybyła z powinszowaniem, uściskał mi wedle ich zwyczaju

*

ramiona z jednej i drugiej strony, co ja też naśladowałem. Akt ten był mi bardzo przyjemnym, bo dowodził szczególnej dla mnie sympatji, i życzliwości — jakiej odmawiano innym, pomimo, że ja byłem giaurem.

Od czasu do czasu miewałem w szpitalu także inspekcje, które trwały całą dobę. Szczebiotka Liza dawała mi pozwolenie z niechęcią, by za to po upływie dwudziestu czterech godzin tem serdeczniej mnie witać. Takie dyżury z wiosną stały się wcale znośnemi. Z okien szpitala położonego na drodze adrjanopolitańskiej był widok na nieprzejrzane lasy najeżonych namiotów; między białymi odszczególniały się wielkością zielone, przeznaczone dla baszów. Pod obozowymi parasolami stali żołnierze na widetach. Niektórzy *akardasze* (towarzysze) siedzieli bez koszuli, prali bieliznę w miskach i suszyli na słońcu. Drudzy złożywszy broń na krzyż, zszywali podarte uniformy, opowiadając sobie stare powieści pełne opryszków i złych duchów; inni gotowali baraninę przy rozniecowym ogniu, a reszta wylegała się na ziemi, zawodząc żałośnym głosem monotonne arje. W ogrodzie bawiła się owieczka z kotkami, a koty z polnemi myszkami. W basenie skrzeczały żaby na złote rybki, uwijające się między wodnym zarostem. *Imam* ze szczytów minaretu wzywał głosem przeciągłym i pełnym namaszczenia na modlitwę. Z przyjemnością przypatrywałem się rekonwalescentom i szpitalnym sługom garnącym się w ogrodzie do modlitwy. Każdy z nich spieszył bodaj ze swoim płaszczem, kaftanem, kawałkiem koca, kołdry, kożucha z baranią skórą, jednem słowem każdy wlókł coś, na czem mógłby uklęknąć. Gdy wyzuł obuwie, stawał jak posąg z twarzą do Mekki obróconą, ze spuszczonemi rękoma, które następnie wznosił do góry, przykładał do uszu, aby się zagłuszyć przed wrzawą światową i znowu opuszczał na kolana. Nachylony i zatopiony w rozpamiętywaniu klękał, powstawał po chwili, a złożywszy trzykrotny pokłon, uderzał o ziemię czołem i wołał po trzykroć »*Ałłah akhbar*« (Bóg jest wielki). Następnie wstawał znowu, bił pokłony, spiewał do trzech razy »*La ałłah il ałłah*« (nie ma innego boga nad boga) i powtarzał modląc się z Koranu ustępy nie długo, ale z takiem przejęciem się i skupieniem ducha, iż czynił wrażenie, jak gdyby nie był w owej chwili ziemską istotą.

Jednym z obowiązków lekarza inspekcyjnego była jego obecność z rana w spiżarni przy odważaniu wiktuałów, dla skonstatowania ich świeżości. Gdy obiadowa godzina zbliżała się z zachodem słońca, wchodziłem do kuchni, by wojować warząchwią po kotłach, kociołkach i miseczkach, kosztować i badać zdrowotność potraw, a w końcu założyć weto, lub wydać rozkaz roznoszenia. Wieczorem udawałem się do t. z. kwarantany, w celu przyjmowania chorych i przeznaczania do stosownych oddziałów. Drzewami umajony dziedziniec, wiódł do sali, zasłanej siennikami i mundurami, na których muzułmanin leżał przy muzułmaninie. Było tu istne patologiczne muzeum chorobą pochylonych ciał, odzianych w białe koszule lub w zwisłe na ramionach turbany. I tak Arnauta z zawieszonym na rzemyku przez piersi amuletem zwracał w słup krwią nabiegłe oczy. Czerkies w jedwabnym kaftaniku wykrzywiał usta z boleści a pot okrywał mu czoło. Jeździec kurdyjski z siniałemi licami wydobywał z piersi nie znane głosy. Arabem dreszcz wstrząsał a wewnętrzny ogień go palił *(hem hereret hem siczak czok)* Seibek, który podniósł się o własnej sile, padł bez czucia na podłogę. Łysy Bośniak wlókł potłuczone kopytami kości, gdy w czasie ucieczki przed wrogiem uczepił się ogona końskiego i dał się unieść w bezpieczniejsze miejsce. Baszibożuk z Anatolii drżącemi rękoma wskazywał roztratowane nogi, drugi leżał bezwładnie na noszach; apoplektyczna pomroka okryła mózg jego. Murzyn skurczył krwią zbroczone i otrętwiałe członki. Śniady Turczyn z Małej Azji znosił mężnie piekące rany postrzału, który przeszył mu biodra, a inny z Bulgarji stękał od ran opatrzonych końskim włosem i szmatami. Kilku, których tabory odmaszerować miały, owładnęła gorączka ze strachu przed kulami. Przed spaniem obchodziłem wszystkie komnaty chorych dla stwierdzenia porządku. Potrzebowałem pół godziny, by przejść przez wszystkie bez zatrzymania się, co świadczy o rozmiarach szpitalu. W nocy pełniejszemi grozy wydawały się straszne skutki wojny: boleść rannych i narzekania chorych. Tu i owdzie w zakątku klęczał żołnierz na rozpostartym mundurze, wzywając Ałłaha i proroka jego.

O północy zazwyczaj stukano do bramy. Było to dla nas hasło, iż o tym czasie dla uniknienia wrażenia, przyjeżdżały wozy z rannymi, których jęki przygłuszało ponure skrzypienie kół, toczących się po nierównym gościńcu.

W pokoju moim szpitalnym rozlewała nocna lampka mdłe światło o bladych promieniach i była obrazem niemocy, którą mieszkańcy szpitala byli złożeni. Księżyc oświecał swoim blaskiem młodszego mojego kolegę, a czerwony półksiężyc, kołysał się od powiewu wiatru na białych płachtach z włosienia, wypranych od deszczu. Gdy spoczywałem na dywanie wieczorem, długo dolatywały moich uszu melodje muzyki wojskowej, grającej w obozie Mehemeta Ali baszy, przerywane przeraźliwym krzykiem złowrogich puszczyków, gnieżdżących się po cmentarzach, lub wyciem psów, gryzących się o kawałki kości. Zasypiałem. Po chwili budziło mnie kołatanie do drzwi nocnej służby z wezwaniem pomocy, a za chwilę później niepewne dobywanie się i szorowanie po drzwiach i klamce. Był to chory w delirjach, który zmylił drogę. Gdy raz przed mojem łóżkiem stanął zabłąkany w malignie, którego musiałem odprowadzić i oddać w opiekę zaspanemu *onbaszowi* (kapralowi), zamykałem się odtąd na klucz, bo mogłem nagle znaleźć się w przykrem położeniu, gdyby rozgorączkowany poczytał mnie za »*Moskowa,*« którzy byli często przedmiotem fantazowania, a silne muszkuły Turka, choć złożonego tyfuszem, zasługiwały ze wszech miar na ostrożność.

W tak wyziewami zatrutej atmosferze dwie flaszki wina greckiego chroniły mi ciało i podtrzymywały ducha, a czarna kawa równowagę między jednem a drugim.

Ali był moim kucharzem i mistrzem ceremonij orjentalnych. Na chwilę przed jedzeniem przynosił mosiężny dzbanek z wodą i miedniczkę do obmywania rąk i ust, a potem zastawiał potrawy jak *kiilbasty,* duszoną baraninę, *siszkebab,* tłuste kawałki mięsa przy kości rzucane na żarzące węgle; z ryżu przyprawiał sławny *piław sutli, lappa, mohalebi.*

Ulubione jedzenie, do którego trzeba się pczyzwyczaić, stanowi *jahurt.* Jest to gęste kwaśne mleko, pozbawione wodnych części. Najmniej smakowały mi ostrygi, z bułką przysmażone polipy i ślimaki z ryżem, które tam wcale nie należą do przysmaków kulinarnych, owszem stanowią najpowszedniéjsze potrawy. Ażeby już sposób jedzenia nabrał cechy właściwej na wschodzie, kończył się turecką drzemką.

Czasami na pogadankę przychodził do mnie stary komendant służby szpitalnej, z ogoloną głową, okrytą fezem. Skłonił się zwyczajem narodowym i pozdrowił *waktiniz chajir olsum* (dzień dobry) Effendim, dotknąwszy się moich szat. Ja uścisnąłem mu ręce naszym zwyczajem. Ali przynosił kubek kawy w czarce kształtu jaja i nakładał nargilę. Wśród aromatycznej woni i wciągania dystylowanego dymu, z uczuciem trwogi przed niejasną przyszłością rozpytywał mnie o nowości europejskie, rozbierał kwestje polityczne i narodowe, a w dalszym ciągu nie wzgardzał greczynem w nieobecności Alego, by nie dać zgorszenia temu, który pieszo odbył pielgrzymkę do Mekki i nosił za to nazwę *Chadzego.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

Kraków znowu wyrządził nam figla. Tak się wysadził z przyjęciem cesarza, takie porobił niespodzianki, owe hufce, wesela, dożynki, ćwiczenia straży ogniowej, że cały Lwów urzędowy i nie urzędowy chodzi jak struty. O niczem nie mówiono w tym tygodniu, tylko jak to się wszystkie owacje tutejsze wydadzą blademi w obec uroczystości krakowskich. Ztąd różne umartwienia i żale, ztąd krytyki napojone żółcią z octem. Co to jest, mówią malkontenci lwowscy, żeby taki Kraków, powiatowa mieścina, śmiał przywłaszczać sobie honory stolicy! Z jakiego tytułu przyjeżdżały tam deputacje z całego kraju, składały hołdy, wygłaszały mowy na to, żeby Lwów skazany był na powtarzanie tego wszystkiego, co naturalnie musi osłabić urok i żadnego efektu nie wywoła.

Drugi znów powiada: łatwo im urządzać festyny i uroczystości; mają Zyblikiewicza, mają Sukiennice i lud z malowniczemi strojami. Mieścina mała, rynek jak salon, a u nas jedno przedmieście takie jak cały Kraków.

Trzeci pociesza się tem, że Lwów nie wdając się w lekkie zabawy wystąpi poważnie, jak na dojrzałego męża przystało i pokaże, że mu idzie o rzecz. Oto co powszechnie mówią, że hr. Włodzimierz Dzieduszycki ma z okazji pobytu cesarza wystąpić z ofiarowaniem swego muzeum i domu, w którym ono się mieści, na rzecz kraju. Dalej, że adwokat Malinowski palnął sobie fundacyjkę na rzecz użyteczności publicznej w kwocie stutysięcy reńskich, a gotują się jeszcze inne niespodziaki, o których zamilczamy, aby nie psuć krwi naszym antagonistom z Krakowa.

Otóż tak mówią we Lwowie, lecz czy to nie zazdrość tak się manifestuje, nie śmiemy zaprzeczać. Naszym obowiązkiem kronikarza jest notowanie wrażeń i faktów. Naprzykład i tutaj nie brak pessymistów, tudzież plotkarzy: szepcą coś, że Zakrzewski i Wasilewski, o których za-

mówieniu pisały różne pisma, wcale nie przyjadą z Warszawy, mówią, że z formowaniem straży obywatelskiej tępo idzie, że dyrektor kolei Karola Ludwika nie chce pozwolić, aby prezydent na czele rady, oddawał klucze miasta przy bramie wybudowanej przez zarząd kolei, że bilety wejścia na skarpy podczas fakelzugu sprzedają żydzi po ulicach, a urzędnicy z różnych biór i obywatele miasta doprosić się o nie w Magistracie nie mogą... Zapewne, że to wszystko są plotki i narzekania wątrobników lwowskich, którym nikt jeszcze i nigdy nie dogodził.

Tymczasem miasto się stroi wieńcami z zieleni, a wiatr swywolnik dokucza chorągwiom nabijając je na szpice drągów, z których odczepić się nie dadzą. P. Mikolasz jeszcze we środę swój dom, gdzie się mieści apteka, udekorował w kółeczka i różne festoniki na podobieństwo austerji niemieckich po wsiach podczas wesela. Wątpimy czy to pan Zacharjewicz takie mu dał rysunki, chyba że nie. Tu i ówdzie pojawiają się skielety na transparenty i cyfry z lampionami, jedna tylko Pełtew, ta stara sekutnica Lwowska, z powodu ciągłej suszy, tak dalece dokucza nosom przechodniów, że radziłbym koło niej poumieszczać napisy takie same, jak to się piszą na paczkach z zapałkami na kolei: „ostrożnie z nosem", inaczej popsuje cały efekt wjazdu i całej uroczystości. Ot gdyby był p. Malinowski zapisał te sto tysięcy na pokrycie Pełtwi, dalibóg więcejby się przyczynił dla dobra ludzkości i zdrowia lwowskiego, niż ustanawiając pięć stypendjów z dochodów.

Mimo, że cała nasza załoga wojskowa wyruszyła pod Sądową-Wisznię bronić stolicy, z której nieprzyjaciel idący od Krakowa ma zamiar ją wyforować, jednak w mieście ruch coraz żywszy. Z każdego pociągu fiakry wiozą szanownych prowincjonałów z kuframi i skrzynkami do miasta, właściciele hotelów podnoszą ceny numerów, porcje polędwicy nie wiadomo dlaczego zmniejszają się co dzień, a nawet kufelki z piwem mają teraz więcej piany, niż przedtem. Kraków co prawda zrobił nam na złość, lecz śmiemy tu przypomnieć komu należy, że po ludzku się obszedł z gośćmi, bo słyszeliśmy, że pokój jeden z pościelą i kawą rano, nie kosztował więcej jak trzy floreny dziennie. Dla rywalizacji zatem nie wypadałoby inaczej i u nas postępować.

* * *

Kwestja żydowska ciągle jest u nas na porządku dziennym; odnośne dzieła, petycje, broszury, wyrastają jak grzyby po deszczu, a faktów rzucających na nią światło i wskazujących na jej ważność, po szpaltach czasopism naszych pełno. Wszystko to jednak nie wiele pomaga i kwestja jak stała tak stoi; bo z jednej strony oprócz pisania owych dzieł i broszur nic się nie robi, a z drugiej, książek tych żydzi nie czytają i nie wiele ich to wszystko obchodzi. Zdaje się wszakże, że promień ogólnej oświaty ureguluje kwestję żydowską prędzej i lepiej, aniżeli wszelkie wyjątkowe prawa i zabiegi, a mówimy to na zasadzie kilku faktów, jakie miały miejsce za kordonem, pod rządem rosyjskim, gdzie zauważano w bieżącym roku trzeci już wypadek boleśnego zawodu jaki spotkał żydowskich t. z. Cadyków. Poprzednio w Żytomierzu i Odesie, a teraz w Kijowie tłum żydowski przekonawszy się o szarlatanizmie przybyłego tam Cadyka, powybijał mu okna, połamał meble i nieszczęśliwego zbił bez miłosierdzia. Nie można zapewne pochwalać takich doraźnych wyroków, widocznie jednak w masach żydostwa powstają jaśniejsze poglądy. Niech tylko jak największa ilość żydowskiej młodzieży kształci się w szkołach krajowych publicznych, a powstałe ztąd żywioły cywilizacyjne połączą się węzłem obywatelskiego interesu z ogółem, postawią się krytycznie względem przywódców swego cywilnego i religijnego zacofania i tym sposobem kwestję żydowską najlepiej, bo najnaturalniej załatwią.

* * *

Wspomnieliśmy w przedostatniej naszej kronice o niefortunnej korespondencji ze Lwowa do »*Wieku.*« Dziś mamy do zanotowania fakt podobny, lecz jeszcze bardziej jaskrawy. P. Feliks Kozubowski od dłuższego już czasu zamieszcza w jednym z warszawskich tygodników, Listy z Cieszyna, w których wysila się na najczarniejsze barwy aby zohydzić i zpotwarzyć zasłużonego w sprawie podniesienia oświaty polskiej na Szlązku austrjackim, czcigodnego redaktora *Gwiazdki Cieszyńskiej*, p. Pawła Stalmacha. Nie ma podłości i zbrodni, którejby p. F. K. panu Stalmachowi nie zarzucił. Taka jest nagroda za pracę całego życia około sprawy narodowej! I któż to jest ten pan Kozubowski, który tak namiętnie napada i bezcześci ludzi takich zasług jak p. Stalmach? Otrzymaliśmy przed rokiem wraz z innemi redakcjami od p. F. K. list, w którym tenże prosi o puszczenie w niepamięć jego przeszłości, gdyż wstępuje na inną drogę i chce, uczciwie pracując dla kraju, zrehabilitować się. Bardzo pięknie i chwalebnie, nie mamy sił za dużo. Uznanie własnych win i szczera skrucha zdolne są wyjednać przebaczenie i zapomnienie, pod warunkiem cichej i pożytecznej pracy w przyszłości. Ale p. F. K. widocznie rozumie rehabilitację w ten sposób, że ażeby samemu okazać się czystym, najlepiej jest drugich błotem obrzucać. Za taką rehabilitację dziękujemy. Mniejsza tam zresztą o takiego p. F. K., którego opinje znane są dobrze — ale niedarowaną lekkomyślnością redakcji jest, że podobne korespondencje przyjmuje i drukuje, co tem bardziej jest przykrem, że tygodnik ów należy do pism najlepiej redagowanych.

Już to trzeba przyznać, że w ogóle redakcje pism naszych grzeszą wielką nieznajomością stosunków krajowych pod innemi zaborami i że plotkarstwo jest najulubieńszą ich strawą, bez względu jak wielką tem szkodę krajowi wyrządzają. Przykładów nie potrzebujemy szukać daleko. Oto niedawno rozeszła się pogłoska, że p. Karol Miarka, człowiek, dla którego przed kilku jeszcze miesiącami cała prasa polska nie miała dosyć słów uznania i podzięki za jego całego życia pracę nad podniesieniem oświaty polskiej na szlązku pruskim, za jego opiekę nad tym ludem biednym, człowiek na którego ręce naród z całem zaufaniem stutysięczne składki na dotkniętych głodem Szlązaków składał, że ten sam Karol Miarka miał sprzedać swoje pismo „Katolika" Niemcom?!?! a nadto sprzeniewierzyć jakieś pieniądze bankowe!!

I oto ta sama prasa polska powtarza te pogłoski, a do tego w chwili, kiedy rząd pruski któremu nie w smak działalność na Szlązku p. Miarki, uwięził go i kiedy ten nie może się bronić i potwarzy odeprzeć.

Tak więc w godzinie, kiedy nareszcie naród polski zaczął sobie powoli przypominać o braciach Szlązakach, w takiej godzinie dwaj najzasłużeńsi tam ludzie — dwaj apostołowie polskości na Szlązku: *Paweł Stalmach* i *Karol Miarka,* zostali przez prasę polską zpotwarzeni i zponiewierani.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

J. I. Kraszewski, Powieści historyczne; IX. «Waligóra«, powieść historyczna z czasów Leszka Białego, Tomów 3. X. «Syn Jazdona«, powieść historyczna z czasów Bolesława Wstydliwego i Leszka Czarnego. Tomów 3. Kraków; nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie 1880.

Różnica kilku dziesiątek lat zaledwie rozdziela dwie ostatnie powieści historyczne sędziwego jubilata, których tytuły wypisaliśmy na czele, a które w roku bieżącym opuściły w krótkich przerwach prasę.

Wypadki, zawarte w obu powieściach, nie obejmują wiele więcej jak pół stulecia, koloryt więc historyczny musiał pozostać jednolitym, tak, że zdawałoby się, iż obie powieści muszą być monotonne. Tak jednak nie jest.

Kilkadziesiąt lat dziejów, jakie ujęły w sobie „Waligóra" i „Syn Jazdona" są pełne barw rozlicznych, postacie, jakie się na tem tle pojawiają, są pełne świeżości i siły rozkwitającej epoki historycznej, która ma stworzyć w dalszej konsekwencji wypadki potężne a brzemienne w skutki; w Polsce są one spektatorami pierwszego pojawienia się Krzyżaków i nawału dzikich hord tatarskich, które tak samo jak azjatycka dżuma tem straszniejsze są, im są mniej znane.

Z tego cośmy powiedzieli widać więc, że powieściom historycznym z tej epoki nie brak by było właściwych znamion i kolorytu, a z wszystkiego tego umiał wybornie skorzystać autor, i rozdzieliwszy niedługi czas panowania Leszka Czarnego, Bolesława Wstydliwego i Leszka Białego na dwie powieści osobne, każdą z nich umiał uczynić interesującą i w swoim rodzaju oryginalną pod względem formy. Bohaterem pierwszej powieści jest wprawdzie Waligóra, brat Iwona Odrowąża, którego sprowadza biskup z samotności jego w Białej Górze na zamek krakowski, aby był strażą i obroną Leszka Białego, przeciw intrygom Światopełków i Odoniczów, ale główną rzeczą w opowiadaniu nie jest ani olbrzymia postać Waligóry, tak jak prześliczny romans dwóch córek jego, Halek, z młodymi Krzyżakami nie jest jego osią, przeciwnie główną wartość powieści stanowi tu szerokie tło historyczne, na którem występują świetnie narysowane postacie najważniejszych aktorów dziejowych tego wieku, postacie charakterystyczne Konrada Mazowieckiego, Henryka Brodatego i jego żony Jadwigi, Leszka, Laskonogiego i Światopełka. W opowiadaniu autora „Witoloraudy" występują w całej jaskrawości fakta wielkiej doniosłości, której widownią była w tym wieku Polska. Wypadki te niemałej zaś są wagi. Sprowadzenie Krzyżaków do Polski przez Konrada, germanizacja Szlązka pod panowaniem Henryka Brodatego, oto fakta, które stały się źródłem tysiąca strasznych następstw i konsekwencyj dla przyszłości Polski. W opowiadaniu więc Kraszewskiego wysuwają się one na pierwszy plan, a pochód oddziału krzyżackiego i ich rozmowy jakoteż opis dworu ks. Hen-

ryka jest pełen życia i charakterystyki. Najpiękniejszemi przecież pod względem artystycznym ustępami powieści jest miłość dwóch Halek dla młodego Krzyżaka Hansa, tudzież opis obozu pod Gąsawą i pogoni Światopełka za Leszkiem. Pierwszy prostotą swoją i wdziękiem przypomina niezepsute ludu pieśni, drugi ma w sobie żywość barw, która przywodzi na pamięć dzieła najlepszych mistrzów pędzla.

Głównie jednak odznacza „Waligórę" i stawia go na czele wszystkich historycznych powieści Kraszewskiego znakomita charakterystyka osób. Bo pominąwszy już główne postacie historyczne, przyznać trzeba, że i drugorzędne figury, jakkolwiek szkicowane tylko, mają w sobie wiele rysów typowych. Obok dwóch idealnych Halek, które mają tyle znamion, cechujących epokę romantycznego rycerstwa, występują tu figury pojęte czysto realistycznie, a przeprowadzone nadzwyczaj konsekwentnie. Na dowód słów tych dość wskazać Dzierlę, starego Jaksę lub Jaszka, świetny typ awanturnika i źle pojętej rycerskości, która jest najważniejszym wyrazem średnich wieków.

Brak miejsca nie pozwala nam się wdawać w szczegóły. Nie możemy jednak rozstać się z Waligórą, aby nie wskazać, chociażby na opis posiedzenia sądowego w Wrocławiu, będący istną kopją z opisów kronikarskich, kopją, w którą talent autora umiał wlać życie.

Cóż powiedzieć wobec „Waligóry" o „Synu Jazdona"? Czytany bezpośrednio po tamtej powieści „Syn Jazdona" wydaje się monotonnym. Jestto jednak tylko pierwsze, złudne wrażenie. Na obie powieści trzeba się zapatrywać z odmiennego zupełnie stanowiska, a jak mieszkaniec gór nie potrafi bezstronnie osądzić piękności równin, które mu się zdają jednostajne i nudne, tak i ten, któryby chciał ostatnią powieść sędziwego Jubilata sądzić według poprzedniej, sprawiedliwego wyroku wydać nie może. „Syn Jazdona" różni się założeniem i formą nietylko od „Waligóry", ale od wszystkich innych powieści historycznych Kraszewskiego. „Syn Jazdona" jest po prostu portretem historycznym! Opowiada on dzieje znanego dobrze z historji biskupa krakowskiego Pawła z Przemankowa, a kreśląc charakter jednej historycznej osobistości w nim, odźwierciedla równocześnie wszystkie cechy główne epoki dziejowej. Wobec rozkwitu fanatyzmu religijnego, jaki znamionuje tę dobę dziejów *naszych*, zwłaszcza dobę, która stworzyła św. Jadwigę i Kingę i tyle innych niewiast, które wyrzekłszy się rozkoszy ziemskich, poświęciły życie swe Bogu, przez naturalną przekorę i reakcję krzewić się musiała i bezbożność, którą wyrodziło przesadne uczucie honoru: nienasycona pycha, drugi pierwiastek historyczny życia tej epoki. Paweł z Przemankowa, namiętny lubieżnik, zdzierca i gwałtownik, bezbożny kapłan jest odwrotną stroną medalu, jest przeciwieństwem fanatycznej pobożności tego wieku, jest typem historycznym XIII. stulecia.

Kraszewski, kreśląc zatem portret Pawła z Przemankowa, nie charakteryzuje wyłącznie jednego człowieka, ale w nim wiek cały, i dlatego to obok Pawła i kochanki jego Biety, stoi żona Bolesława Kinga, stanowiąca jego kontrast, ważny tak pod względem artystycznym jak i pod względem dziejowym.

A charakter ten główny „Syna Jazdona" przeprowadzony jest z żelazną konsekwencją. W zatwardziałości swej trwa biskup krakowski aż do końca, przedśmiertne osłabienie dopiero budzi w nim skruchę i chęć pokuty, ale to chwilowe odstąpienie od zasad, a raczej od niewiary, w jakiej żył dotąd, nie łamie charakteru, bo przejście to i zmiana patologicznym jest tylko objawem. Co innego Bieta. Namiętność i chęć panowania i ją uniosła zarówno jak biskupa zbyt daleko, ale w niej wrodzona kobiecie miękkość charakteru odezwała się przecież dość wcześnie dziwnym jękiem, który duszę jej rozdarł na poły, ale powstrzymał ją nad brzegiem przepaści i pokutą kazał zmazać winy.

Obok tych dwóch głównych figur, które razem składają się na misterny portret, stanęli Bolesław Wstydliwy i Leszek Czarny, których autor cofnął w głąb, aby tem jaskrawsze tło zostawić dla swego bohatera.

Ponieważ główne zadanie powieści stanowi charakterystyka biskupa Pawła, rzecz naturalna, że nie wiele miejsca pozostało na opisy plastyczne. Najpiękniejsze pod tym względem ustępy znajdzie czytelnik w prologu, gdzie prawdziwie świetnym można nazwać opis bitwy z Tatarami pod Lignicą. Przed oczyma czytelnika roją się tłumy wojujących, zda się, że w opisie tym słychać wrzawę wojenną i szczęk broni, nad którym góruje ciągle dziki okrzyk tatarski „Surun".

Ale i z innego względu ważny jest ten prolog. Okazując nam bowiem młodość Pawła z Przemankowa, tam już kilku wielkiemi rysami charakteryzuje pacholę, z którego ma urosnąć późniejszy biskup, człowiek pełen pychy szatańskiej, który śmie w oczy urągać księciu, panu swemu, gwałciciel sprosny, gwałtownik i zbrodzień nieznający nikogo prócz siebie, niekochający nic prócz namiętności własnych.

B. S.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** P. Henryk Stroka, nauczyciel starszy seminarjum naucz. męzkiego w Rzeszowie, zamierza wydać podręczniki dla nauczycieli szkół ludowych, któreby obejmowały praktyczne przeprowadzenie nauki elementarnej, na podstawie przepisanych czytanek polskich. Obecnie z końcem października opuści prasę pierwszy podręcznik p. t. „Praktyczny przewodnik do udzielania początkowej nauki na podstawie elementarza" Część I. Pierwszy rok nauki. Cena tej książki w drodze prenumeraty wynosi 60 centów.

*** Właścicielka księgarni w Mińsku litewskim, pani Sawicka, wstępuje za przykładem pani Orzeszkowej w Wilnie na pole wydawnicze.

Na początek puszcza pani S. w świat nową powieść J. I. Kraszewskiego p. t. „Dwa bogi, dwie drogi".

*** „Studien über die Judenfrage" von einem Geächteten, wyszedł z druku zeszyt III.

*** Znany heraldyk Ad. Am. Kosiński wyszukał ciekawy rękopis z szesnastego stulecia, dotyczący dziejów kilkudziesięciu znakomitszych naszych rodzin.

Jest on pisany po polsku, lecz literami gotyckiemi a ortografją czeską.

*** Redakcja „Przeglądu Katolickiego" wypuściła w świat broszurkę pt. „Ciekawe opowiadania pielgrzyma" przez ks. Rocha Filichowskiego.

Jest to rzecz dotycząca historji niektórych naszych kościołów, opowiedziana zwięźle i w związku z pamiątkami przeszłości i dziejami królów epoki piastowskiej.

*** „La pitié suprême", najnowszy poemat Wiktora Hugo, znalazł tłumacza w p. Klemensie Podwysockim.

*** Dawno już nie panował w dziennikach czeskich tak szeroki ruch sprawozdawczy, dotyczący naszych stosunków umysłowych, jak obecnie.

„Lumir" zamieszcza „List z Polski", podpisany przez Juljusza Wrona, w którym czytamy wzmianki o naszych wydawnictwach, jak: „Słownik geograficzny", „Encyklopedja wychowawcza" oraz innych.

Tenże sam dziennik drukuje ustępy z nowego tłumaczenia „Konrada Wallenroda".

Nakładca Otto wydrukował zbiór utworów ludowych Grudzińskiego, o których niedawno dawaliśmy sprawozdanie: przekład ów nosi tytuł: „Ukrajnské powidky".

„Koleda" pomieszcza dalsze przekłady z „Ziarna". Tenże dziennik zawiera dalszy artykuł „O kukułce w poezji słowiańskiej", w którym i nasz lud uwzględniono, z powołaniem się przeważnie na pisma Żegoty Paulego.

*** Daudet napisał nową powieść pt. „Północ i południe" — Beaconsfield chwycił się znów pióra i opracował romans osnuty na tragicznych wypadkach zejścia dynastji napoleońskiej z widowni świata.

*** „Gazeta Rolnicza" w Nrze 36 z r. b. zawiera: 1. Projekt ustawy leśnej Królestwa Polskiego. 2. Teorja a praktyka w gospodarstwie wiejskiem, napisał dr. Juljusz Au. 3. W kwestji ochrony lasów, przez Juljana Łapickiego. 4. Listy z Gubernii Kijowskiej, przez Tadeusza Zaleskiego. 5. Przegląd polityczny 6. Wiadomości bieżące. 7. Rozmaitości. 8. Kurjer rolniczy. 9. Odcinek zawiera: Woły robocze, szkice patologiczno społeczne, przez autora „Kłopotów starego komendanta".

*** P. Tissot, znany podróżnik francuski, bawiący obecnie w Galicji, rozpoczął już w organie orleanistowskim *Le Moniteur universel* szereg swoich wrażeń z podróży.

Mieszczą się one pod ogólnym tytułem *Le Carnet de voyage d'un Parisien*« a pod datą dnia 12. b. m. znajdujemy list z napisem »*Cracovie, de Vienne en Galicie*«.

Autor po kilku wykrzyknikach wywołanych pięknością dworca północnego w Wiedniu, zasiadł w wagonie sypialnym, powierzył się Morfeuszowi i obudził się dopiero w „Dziedzitz", pogranicznym dworcu Galicji.

Odtąd rozpoczął Francuz przypatrywać się chciwie „galicjanom."

Oczekujący na pociąg zwrócili przedewszystkiem jego uwagę.

Odznaczające się rozmaitością ubiorów i fizjonomją tłumy, nie zrobiły na nim złego wrażenia.

Zachwycił się nawet wieśniaczkami, których krótkie spódniczki i „spalone od słońca czerwone łydki" uważał za bardzo ciekawe.

Tu biada po raz pierwszy Tissot nad obfitością żydów — "jak krucy" rzucają się oni do wagonów 3. klasy.

Dalej opisuje ubiór galicyjskiego żyda i to nawet wcale wiernie.

„Dla żyda Galicja jest ziemią chanaańską; jak niegdyś szarańcza pokrywała Egipt, tak żydzi pokrywają dziś Galicję".

Oświęcim przypomniał mu jedyne zwycięztwo odniesione nad Prusakami w r. 1866, dzięki szarży dzielnych ułanów.

»*Sliwa woda*« tak krzyczeć mają dziewczęta zbliżające się z dzbanuszkami do wagonów.

W Skawinie znów drażni go obecność mnóstwa izraelitów.

Delikatny Francuz sądzi, iż „są oni obrzydliwi, niechlujni i wydają z siebie zaraźliwy zapach."

„Dobrze mówi przysłowie galicyjskie — woła Paryżanin — iż pies poczuje żyda o dwie mile."

Kraj podoba się Tissot'owi, uderzają go wspa-

niałe lasy, sądzi jednak, iż te ustąpić muszą alpejskim borom.

„Chłop galicyjski uznaje lasy za dobroczynne — bo podczas wojny i w dniach żałoby znajduje w nich schronienie.

„Chłop słowiański poczytuje drzewa, strumienie i wiatr za istoty obdarzone duszą.

„Słowianie ostatni przyjęli wiarę chrześcian i dla tego dotąd zachowują głębsze poczucie natury, niż ludy zachodnie, które są już starszemi w dziedzinie cywilizacji.

„W głębi duszy Słowianie są panteistami."

Na tem kończy się feljeton — jak widzimy — dość banalny.

Sztuki Piękne.

*** Na wystawę krakowską sztuk pięknych nadeszły Juliusza Kossaka „Chrzestna matka" i Tomasza Dykassa „Dyanna unosząca Ifigenię przed ofiarą" (grupa z gipsu).

*** Towarzystwo sztuk pięknych krakowskie, rozlosowało już między swych tegorocznych członków 54 obrazów olejnych i akwarel za 11.204 złr. i 36 rzeźb z bronzu drzewa i gipsu za 1.500 złr. i sztychy, oleodruki i t. d., razem 13.700 złr. wartości.

*** Na wystawę Warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych przybył nowy obraz Antoniego Pileckiego, twórcy „Goplany" — p. t. „Arab".

*** Ruchoma wystawa malarska pana Krywulta otwartą zostanie w Lublinie

*** W konserwatorjum Warszawskiem klasę skrzypców opuszcza p. Rożalski a jego miejsce zastąpi p. Izydor Lotto, dotąd profesor w Strasburgu.

***Pierwszym skrzypkiem warszawskiej opery został p. Izydor Lotto.

*** P. Lüdowa została artystką teatrów warszawskich.

*** Jedna z najznakomitszych tragiczek angielskich Neilson, zmarła w tych dniach w Nouveau Châtelet pod Paryżem.

Obdarzoną była niezwykłym talentem.

Anglicy uważali ją za współzawodniczkę Sahry Bernard i Modrzejewskiej.

Zawód swój artystyczny rozpoczęła od amatorskich teatrów w najpierwszych salonach Londynu, do których, jako kobieta znakomitego rodu, miała wstęp otwarty.

Pierwsze powodzenia tej niezwykłej artystki, kroniki artystyczne notują w roli Anny Robsart.

Z zapałem przyjmowała ją następnie Ameryka i obdarzyła miljonami dolarów.

Specjalnością jej były role w szekspirowskich dramatach i sztukach Dumasa (syna).

Przyczyną jej śmierci była szklanka mleka, wypita w mleczarni Pré Catalon w lasku Bulońskim.

Sekcja jednak nie wykryła otrucia, o którem cały Paryż rozpowiada.

Dzienniki francuskie i angielskie oddają cześć mis Atanaidzie Liliam Neilson, nietylko jako wielkiej artystce, ale także i wzorowej kobiecie, która umiała przebyć cały swój trudny zawód bez skazy w życiu prywatnem.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** W Warszawie ma się zawiązać „Towarzystwo przyjaciół dzieci", którego celem będzie danie opieki i przytułku dzieciom biednym i opuszczonym, których mała tylko cząstka może być wychowaną przez zakłady dobroczynności publicznej. Pisma warszawskie gorąco się tą sprawą zajmują i mają nadzieję, że w krótkim przeciągu czasu zbiorą się odpowiednie fundusze i rzecz przyjdzie do skutku.

*** Katedra lubelska ozdobiła się w tych dniach dwoma pięknemi pomnikami, poświęconemi pamięci dwóch zasłużonych krajowi braci ś. p. Walentego, biskupa i Jana, b. dyrektora obserwatorjum astronomicznego, Baranowskich.

Pomniki te z białego marmuru, wmurowane w ściany bocznej nawy kościoła, noszą na sobie portrety obudwu zmarłych i odpowiednie napisy.

Hołd ten należał się bez wątpienia pracowitym mężom.

*** Propaganda mormońska robi ciągłe postępy w Niemczech.

Świeżo znowu przybyli do Berlina trzej wędrowni „apostołowie" tej sekty pod przewodnictwem niejakiego Jana Hinka i już zapowiedzieli byli wielką konferencję, celem zjednania mormonizmowi jaknajwiększej liczby „pobożnych braci", a jeszcze większej liczby „pięknych sióstr", gdy policja, dowiedziawszy się o tem, zabroniła i kazała trzem „apostołom" wynosić się natychmiast z Berlina...

*** Warszawa wzrasta z ogromną szybkością; co miesiąc wyrasta tam po kilkadziesiąt nowych domów we wszystkich dzielnicach miasta, domów wielkich i pięknych. Ogólne jest jednak narzekanie, że domy te stawiane są spekulacyjnie, a głównie, że przy korzystaniu z każdego łokcia gruntu, podwórza nowych domów są niestosunkowo małe, co musi źle wpływać na wygodę i zdrowie mieszkańców. Domy w przeciwnych warunkach są wielką rzadkością.

*** Na odbywających się wielkich wyścigach konnych w Carskiem Siole pod Petersburgiem, większą część nagród zdobyły konie polskie, przeważnie p. p. L. Grabowskiego i hr. Krasińskiego.

*** Podług wykazów statystyczno-policyjnych, osoby prywatne utrzymują w Warszawie 7000 psów. U nas w Lwowie wałęsa się tego chyba dwa razy tyle.

*** Słyszeliśmy, iż wkrótce powstać ma w Warszawie fabryka adamaszków, aksamitów, materyj jedwabnych i t. p. tkanin. O założeniu tej nowej fabryki myślą przemysłowcy zagraniczni, którzy zamierzają nabyć nieczynną obecnie fabrykę po zmarłym niedawno ś. p. Worowskim, a następnie znacznie powiększyć przez nabycie trzech sąsiednich posesyj, to jest jednej od ulicy Krochmalnej, tuż przy fabryce Worowskiego i dwóch tylnych od ulicy Chłodnej.

*** Od 7 do 23. z. m. nie spadła ani kropla deszczu w Anglji, Szkocji i Irlandji, podczas gdy Europa środkowa pustoszona była nawalnicami; wskutek tego zbiory wielce się poprawiły.

*** W Paryżu, według danych zebranych z polecenia prefekta policji, od 1. stycznia r. b. do obecnej chwili odbyło się 140 pojedynków.

*** Albert Hofmann, wydawca czasopisma humorystycznego *Kladderadatsch*, pozostawił, jak donoszą gazety tutejsze, majątek, wynoszący cztery miljony marek.

*** Według zdania inżyniera Pellichody, całkowite wykończenie wielkiego tunelu św. Gotarda spodziewane jest z początkiem maja 1881 r.

*** Komitet międzynarodowego targu zbożowego w Wiedniu zwraca uwagę, że w roku bieżącym pomyślnemu rezultatowi zbiorów w znacznej mierze stanęły na przeszkodzie siły przyrody, burze, powodzie, deszcze i t. d. i rezultaty urodzaju dla każdego państwa, a nawet dla znajdujących się w specjalnych warunkach jego prowincji, wyraża w liczbie stosunkowej do cyfry 100, która przedstawiać ma, względnie do warunków miejscowych, urodzaj średni.

Tak np. w Królestwie Polskiem, według danych komitetu, urodzaj pszenicy wyrazić można w cyfrze 105, żyta — 90, jęczmienia i owsa — 110.

Rzecz prosta, trudno nam tutaj przytaczać cały szereg szczegółowych cyfr, które chyba dla specjalistów mogłyby być interesujące, ale za to postaramy się dać w krótkich słowach pojęcie o ostatecznych wnioskach, jakie z owych liczb wyprowadzić można.

Widzimy więc, że żyto przedstawia najgorszy urodzaj i w ogóle mniej niż średni, bo w niewielu tylko prowincjach dochodzący do 100; do tego rodzaju szczęśliwych krain należą północna Bawarja, Baden, Wirtemberg, północne Włochy (125), Francja (120), Belgja, Rumunja i Serbja.

W ogóle urodzaj żyta waha się pomiędzy 80 a 90, a gdzieindziej, jak w środkowych i północnych guberniach Rossji spada do 55.

Urodzaj pszenicy jest daleko korzystniejszy (od 100 i wyżej), jęczmienia zaś i owsa jeszcze lepszy.

Co się tyczy urodzaju w różnych krajach, to najlepszy rezultat dały zbiory w północnych Włoszech (pszenica—130, żyto—125, owies—110), w Rumunji (pszenica—125, żyto - 116, jęczmień—140 i owies—125) w północnej Bawarji, Wirtembergji, Francji itd.

Najgorszy urodzaj miały: środkowe gubernje Rossji (pszenica—60, żyto—55, jęczmień—103 i owies—100), południowe gubernje, Saksonja, Szwecja z Norwegją, Prusy itd.

Urodzaj w pozostałych państwach i prowincjach jest średni.

Co się tyczy Ameryki, na którą zwrócone są oczy Europy, jako na śpichrz, mogący ją dostatecznie zaprowiantować na przypadek potrzeby i która coraz więcej zaczyna dostarczać na ląd stały zboża i innych artykułów spożywczych, ta wydała 440 milionów miar pszenicy, to jest tyle, co i w roku zeszłym.

Będzie ona wstanie dać Europie zboża ile tylko potrzeba.

Na wywóz także pewną ilość pszenicy, jęczmienia i owsa mieć będą Austrja, Rosja, Węgry i t. d.

Na zakończenie rzec należy słówko o potrzebie przywozu i zakupu, jaka się przejawia w różnych krajach.

Widać przeto, że Prusy będą musiały zakupić za granicą 40% ogólnego zapotrzebowania żyta Saksonja 10% pszenicy i 25% żyta, Meklemburg 20% żyta, Danja 10% żyta, Szwecja i Norwegja 5% żyta, 5% jęczmienia, 5 i 10% owsa, Włochy środkowe 25% żyta, południowe 20% jęczmiemienia i 20% owsa, Holandja wreszcie 10% żyta i 5% jęczmienia.

Odkrycia i wynalazki.

*** Zmiękczenie twardych kamieni w łonie ziemi. P. Wiktor Micault przesłał Towarzystwu mineralogicznemu francuskiemu list ciekawy następującej treści: Saint-Briene, 8. kwietnia 1880 r. „W pierwszych dniach marca r. b. ksiądz Prigent, zajmując się w celach archeologicznych rozkopywaniem kurhana Kergourognon w gminie de Prat (depart. Côtes du Nord) znalazł w nim skrzynkę drewnianą, a w niej rozmaitą broń z bronzu, oraz około pięćdziesięciu ostrzów strzał z jasnego krzemienia, roboty najwytworniejszej. Wszystkie te przedmioty leżały prawie w wodzie, pokryte warstwą gliny na kilka metrów grubą.

„Drzewo uległo całkowitemu rozkładowi i zbutwieniu, jednakże nie ulega wątpliwości, że było ono istotnie drzewem. Bronz całkowicie prawie przeszedł w tlenek lub węglan miedzi, ale co ze względu mineralogicznego mianowicie zasługuje na uwagę, to że wszystkie strzałki krzemienne rozkruszały się w palcach, pomimo największej ostrożności przy ich wyjmowaniu, tym sposobem przepadło ich ze trzydzieści ku wielkiemu smutkowi archeologów. Nie tykano więc ich dalej, a po kilku godzinach przekonano się, że odzyskały twardość zwykłego krzemienia.

„Objaśnienie tego faktu, który wielce zaintrygował księdza Prigent, zdaje mi się być bardzo łatwem. Przypomniałem bowiem sobie, że przed dziesięciu może laty odkryłem pod Vannes żyłę idokrazu brunatnego i że przy wydobywaniu go z ziemi zauważyłem, że kryształy rozsypywały się i ugniatały jak ciasto w palcach. Wieczorem zaś już narzynały szkło.

„Otóż i w danym razie, niezwykłą miękkość i kruchość krzemienia w chwili odkrycia, przypisują tak zwanej wodzie *kopalnianej*. Strzałki były niegdyś twarde, ale pozostając w wodzie i ziemi wilgotnej od dwóch lub trzech tysięcy lat, nasiąknęły

wilgocią i rozmiękły, jak niegdyś materjał rodzimy, z którego krzemień wytworzył się ostatecznie."

Fakt ten daje przeto ostrzeżenie nowe archeologom, że znalezione przez nich przy rozkopywaniu przedmioty, należy nie tykając zostawiać przez niejaki czas w zetknięciu z powietrzem dla stwardnienia odpowiedniego, po czem już bezpieczniej wyjmować się dają.

Podróże.

*** *Nowa wyprawa belgijska do Afryki* wyruszyła nie jak dawniejsze w celu czysto naukowym, ale gwoli założenia w środku Afryki stacji handlowych belgijskich. Na czele jej stoją: fabrykant p. *Adolf Gilles* z Porain-le-Comte i inżynier p. *Geoffroy*. W dniu 25. marca opuścili oni ojczyznę, spodziewając się po upływie dwóch miesięcy spotkać się ze Stanleyem nad brzegami Kongo.

*** *Turysta niezmordowany*. Na posiedzeniu Towarzystwa geograficznego paryzkiego z 7. maja r. b. przedstawił się temuż towarzystwu p. *Panagiotes Potagos*, lekarz grecki, który wśród najgorliwszych tegoczesnych podróżników poczesne zajmuje miejsce. Człowiek ten niezwykłe, a co dziwniejsza, nieznane dotąd nikomu podróże swoje rozpoczął w 1867 roku, kiedy przez Persję i Herat udał się do Kabulu. Dobrze przyjęty przez ówczesnego emira Szyr-Alego przebywał on czas dłuższy tamże, ale następnie powędrował przez Badachszan, Wachan, Pamir i Turkestan wschodni do Hami, gdzie w 1871 roku, dokonawszy wycieczki do Ullassutaju, przeszło rok trzymany był w niewoli, zanim mu się udało przez Kuldżę, Semipałatyńsk, Omsk i Petersburg wrócić do Saloniki. Tu, jako lekarz praktyczny zajmował się dwa lata, poczem przedsięwziął drugą podróż do Kabulu. Z Bombaju chciał tam dostać się przez Peszawer, ale angielskie władze nie dozwoliły mu tego. Z Bender-Abbasu więc przeszedł do Persji i przez Laristan i Seistan dostał się do Kabulu. Ztąd przez Korium-Pass przeszedł do Indji, wsiadł w Bombaju na statek płynący do Egiptu, udał się ztąd w górę Nilu i dwa lata, 1876 i 1877 spędził na wędrówce po krajach leżących na południe Darfuru. Tu badał szczególniej wątpliwy dotąd przebieg rzeki Uella i północnych jej dopływów, odkrył i nakreślił nowe nieznane rzeki i zwiedził słynne Hofrat-en-Nabas, kopalnie miedzi, w których żaden jeszcze nie postał europejczyk. Jakkolwiek karty jego, jako niefachowego astronoma i topografa, kreślone są tylko od oka, wszelako mają one nieporównanie większą wartość, aniżeli wszelkie opowiadania handlarzy arabskich lub darfurskich, według których dotąd nakreślić się starano plany nieznanych tych okolic.

ROZMAITOŚCI.

O Chinach.

Na jednem z ostatnich posiedzeń akademji petersburskiej, pułkownik Unterberger zdawał sprawę ze swej podróży po Chinach.

Przebiegł on przestrzeń od Tien-Tsin, nad Peiho, aż do Czen-Tsin, nad Yang-Tse-Kiang.

Spostrzeżenia pułkownika Unterbergera dotyczą ciekawych szczegółów z życia miast i wsi chińskich.

Podróżował częścią lądem, częścią kanałem Cesarskim.

Nasamprzód zwiedzał groby familji panującej.

Groby te urządzone są w wspaniałych gajach cyprysowych.

Prowadzi do nich wielka alea, i widząc ogólne ożywienie, tłum radosny i pstry, uwijający się tutaj, ani na myśl nie przyjdzie, iż to cmentarz, raczej możnaby mniemać że to wielce uczęszczana przechadzka.

W bogatej lektyce, niesionej przez służących przybranych w pstrą liberję, rozpiera się wysoki urzędnik publiczny.

Spacerujący z uszanowaniem rozstępują się.

Damy zażywają przechadzki siedząc na mułach.

Lud tłoczy się w pewnego rodzaju omnibusie, ciągnionym przez niejednakowe zwierzęta, np. przez woła i muła, albo też osła i konia.

I wyrobnicy, niosący ciężary, przechodzą przez tę piękną drogę.

Dalej uważa pan Unterberger, iż w miarę oddalania się od Pekinu, okazywano mu coraz mniej sympatji w Niebieskiem Cesarstwie.

Nietylko, że on i jego towarzysze nie mogli nigdy zamieszkać w lepszych hotelach, lecz zdarzało się dość często, iż odmawiano im gościnności w zajazdach drugo a nawet trzeciorzędnych, pod pozorem zajęcia wszystkich pokoi.

Wtedy to zmuszeni byli poprzestawać na miernem schronieniu w poddaszach i stodołach.

Gdy jednak powtarzało się to zbyt często, p. Unterberger energiczny stawiał opór.

Mimo twierdzeń właściciela hotelu, iż nie ma miejsca ani dla niego ani dla mułów, siłą wchodził do oberży i ulokowawszy się wygodnie oświadczył, iż pójdzie natychmiast wnieść skargę do mandaryna przeciw niegościnnemu gospodarzowi.

Ten argument przekonywał zawsze Chińczyka który, przeklinając i złorzecząc „tym djabłom zamorskim", dawał im przecie pokoje i żywność, a stajnię i paszę dla mułów.

Prawdą jest przecież, iż oberżysta mścił się, licząc potrójne ceny.

W Chinach niewiele się różni architektura domów w miastach i po wsiach.

Miasta są zazwyczaj oddalone od siebie o 80 wiorst.

Ponieważ cały handel chińskiześrodkowuje się w miastach, ulice są długim szeregiem domów i i sklepów.

Kto nie widział miasta chińskiego, nie wyobrazi sobie hałasu, ożywienia, harmideru, jaki w niem panuje.

Każde miasto okala mur pomalowany na różowo.

Mury tworzą czworobok i zaopatrzone są w silną bramę żelazną.

Przedmieścia przypominają najzupełniej miasteczka, podczas gdy domy miejskie mają więcej komfortu, nawet elegancji; bogatsze są niekiedy pokostowane i złocone z zewnątrz.

Pola uprawiane są z nadzwyczajną starannością.

W Chinach bardzo mało lasów i w ogólności drzew napotkać można.

Drzewo opałowe uważane jest za przedmiot zbytku.

Pan Unterberger w dalszym ciągu płynął kanałem Cesarskim.

Niezmierny ten kanał bardzo źle jest utrzymywany.

Prawie nigdy go nie naprawiają i nie rzadko można widzieć jak mieszkańcy zabierają cegłę, pokrywającą brzegi kanału, i używają jej do budowy domów.

Kanał ma dwadzieścia sążni szerokości, i panuje na nim ruch gorączkowy.

Parowce wielkie i małe, krzyżują się i usiłują prześcignąć, szczególniej w pobliżu miast, gdzie można widzieć często pięć szeregów statków na obydwóch brzegach, a w środku przestrzeń zaledwo wystarczającą do żeglugi.

Zgrabne statki złocone, których kabiny zadziwiają bogactwem, służą za letnią rezydencję dla rodzin bogatych.

Na pomoście i w kabinach widzieć można chinki w jedwabnych sukniach, przybrane w najpiękniejsze kwiaty sztuczne, niedbale wyciągnięte na sofach, a nieco dalej mężczyzn, żywo gestykulujących i rozmawiających o zysku i handlu.

Rządowe statki naładowane ryżem przebiegają pomiędzy szalupami prywatnemi i przeszkadzają statkom przewożącym pasażerów.

W dniu 28 swej podróży p. Unterberger dotarł do Czen-Tsin, nad Yang-Tse-Kiang, gdzie u europejczyków doznał jak najserdeczniejszego przyjęcia i zkąd na parowcu amerykańskim udał się do Shanghai.

Odkrycie złota w Kalifornii.

Gazeta „Progress" w San Francisco przypomina dzieje odkrycia tamże złota; odkrycia, które w swoim czasie tak wielki wpływ wywierało na stosunki ekonomiczne świata całego. Przypomina także, że człowiek, który pierwszy wykrył owe złotodajne pokłady kalifornijskie, dziś nieznany mieszka w Pensylwanii. Posiadacz niegdyś ogromnego majątku, dziś żyje w nędzy. Nazywa się Jan Sutter.

Urodzony 1803 roku w Wielkiem Księztwie Badeńskiem, Sutter wstąpił do szeregów gwardji szwajcarskiej Karola X. W 1834 roku opuścił Francję i popłynął do Nowego Jorku dla założenia winnicy w Stanach Zjednoczonych. Następnie udał się do Missouri do Nowego Meksyku, pracował na rachunek kompanji handlu futrami, a kierowany przez znanych przedsiębiorców Astorów, przebiegł wyspy Sandwich i Alaskę. Fortuna wszakże nie uśmiechała się do niego. Przejeżdżając przez San Francisco, na prośbę swoją otrzymał od gubernatora miejscowego koncesję bezpłatną 30 mil angielskich gruntu w dolinie Sacramento, nad brzegami rzeczki Fourche, gdzie dziś wznosi się pyszne miasto Sacramento City. Było to w 1839 roku. Jan Sutter zabrał się gorliwie do pracy; przy pomocy sześciu białych i ośmiu Indjan zbudował sobie dom na wzgórzu, zkąd wzrokiem obejmował całą posiadłość swoją. Owładnięcie i kupno Kalifornii przez Stany Zjednoczone w roku 1847 nie pozbawiły go prawa własności i w 1848 były gwardzista szwajcarski stał na czele kolonji rolnej, zajmującej się uprawą zbóż i hodowlą bydła. Nabudował młynów, tartaków, warstatów najrozmaitszych; jego stada koni i trzody bydła — na tysiące głów się liczyły — był magnatem w całem znaczeniu.

Na wiosnę wreszcie 1848 roku, puszczając w bieg nowy tartak, zbudowany na rzece Fourche, znalazł w piasku pierwszą łuszczkę złota. Odkrycie to chciał zachować w tajemnicy, ale wieść o niem w kilka tygodni doszła do San Francisco, a niebawem tysiące *diggersów* czyli poszukiwaczy złota, Indjan i Europejczyków, zbiegło się nad brzegi strumienia; żołnierze i majtkowie opuszczali szeregi i okręta spiesząc do nowego Eldorado. Sam odkrywca nie skorzystał bynajmniej ze skarbów niewyczerpanych, które łupem przybyszów się stały. Po wielu niepowodzeniach następnych, Sutter ostatecznie opuścił Kalifornię i obecnie jako starzec siedmdziesięcio-ośmioletni, zamieszkuje ubogą chatkę w małej wioseczce braci Morawczyków, o sześć godzin drogi od Filadelfii.

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim" zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego" we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 37. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.